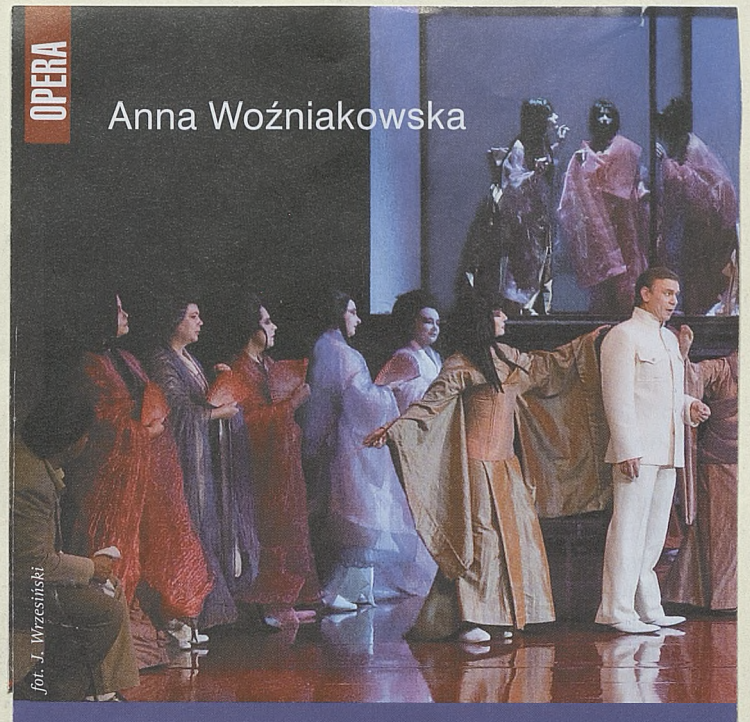
Anna Woźniakowska



fot. J. Wrzesiński

Podobno kilkuletni Giacomo Puccini stwierdził, że najbardziej na świecie kocha muzykę, dziewczęta, ptaki i mrówki. Temu wyznaniu pozostał wierny do śmierci. Muzyka była treścią jego życia, jej środkami kreślił kobiece postaci niemające sobie równych wśród operowych heroin. Dobrze się czuł jedynie na łonie przyrody w ukochanym Torre del Lago. Mimo upływu czasu, mimo wojen, rewolucji obyczajowej i feminizmu Manon, Mimi, Tosca, Liu niezmiennie wzruszają bywalców teatrów operowych. I choć Puccini napisał wspaniałe arie na głosy męskie, to przecież nie mężczyźni są w jego operach najważniejsi.

Sednem jego dzieł jest kochająca kobieta. Być może zdecydował o tym los. Kompozytor ojca stracił w dzieciństwie. Wyróżniany przez matkę (ze szkodą dla młodszego brata), otoczony pięcioma siostrami czuł się dobrze w żeńskim żywiole, kobieca psychika stała mu się bliska. Miał przy tym wrodzone doskonałe wyczucie sceny, był nie tylko kompozytorem, ale i znakomitym dramaturgiem, który potrafił zadręczać librecistów swoimi wymaganiami. Nad librettem do *Manon Lescaut* pracowało czterech autorów, ostatecznie ukończył je sam Puccini. Umiał też dostrzec walory sceniczne opowieści z pozoru wcale niescenicznych.

W połowie XIX wieku izolująca się dotąd Japonia otworzyła się na świat. Odpowiedzią było zainteresowanie egzotycznym krajem i panującymi w nim obyczajami. Najpierw francuski pisarz i oficer marynarki napisał powieść pod tytułem *Madame Chrysanthème*, w której zawarł swe wspomnienia z Japonii, potem ukazała się nowela *Madama Butterfly* amerykańskiego dramaturga Luthera Johna Longa wysnuta ze wspomnień siostry autora, żony misjonarza pracującego w Japonii, opowiadająca historię gejszy Cio-Cio-San, zwanej Butterfly od emblematu w kształcie motyla używanego przez jej ród. Wątki obu utworów opracował scenicznie również Amerykanin David Belasco.

Giacomo Puccini obejrzał spektakl zatytułowany *Gejsza* w czasie swego pobytu w Londynie z okazji tamtejszej premiery *Cyganerii*. Zainteresowała go postać Cio-Cio-San. Według jego wskazówek reszty dopełnili niezawodni Luigi Ilica i Giuseppe Ciacosa. Po kilku latach wspólnej pracy librecistów i kompozytora powstało dzieło jedyne w swoim rodzaju, wspaniały żywy portret kochającej kobiety – od zakochanej pierwszym uczuciem młodej dziewczyny po przedwcześnie dojrzałą tragiczną kobietę, której los odebrał wszystko, co było sensem jej istnienia. Pozostał jej jedynie honor, w jego obronie popełnia samobójstwo. To wymarzona, choć jednocześnie jedna z najtrudniejszych rola dla sopranów.

W Krakowie *Butterfly* nie gościła od dziesiątków lat, nic więc dziwnego, że pierwsza w tym sezonie premiera – właśnie *Madama Butterfly* – wzbudziła ogromne zainteresowanie, tym

Anna Woźniakowska

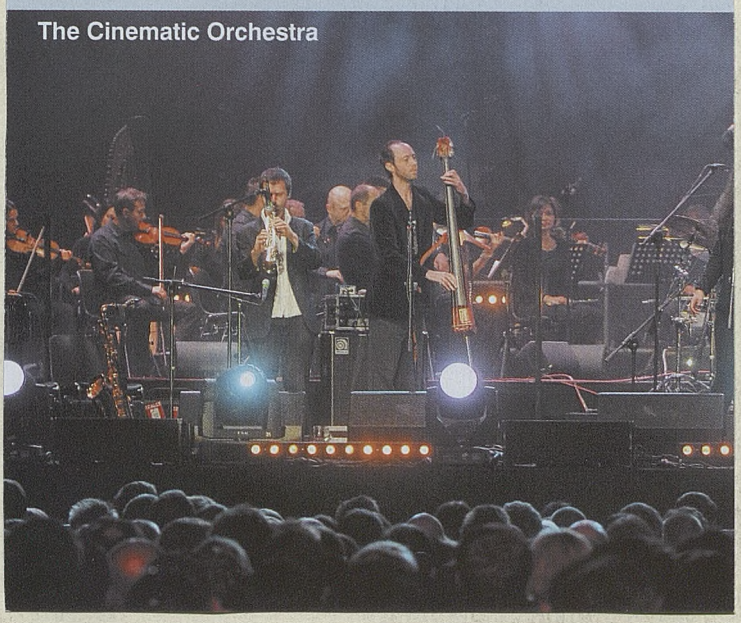
Festiwal na

Początek sezonu muzycznego w Krakowie to od kilku lat Festiwal Sacrum-Profanum. Impreza, która narodziła się właściwie przez przypadek, w krótkim czasie stała się jednym z najpoważniejszych festiwali nie tylko w Krakowie, nie tylko w Polsce, ale i w Europie, a nawet w świecie. Zadecydowało o tym jej ukierunkowanie repertuarowe. Po kilku próbach organizatorzy, czyli Krakowskie Biuro Festiwalowe postanowili każdą edycję festiwalu poświęcać muzyce współczesnej innego kraju. Tego typu monograficzne festiwale są rzadkością, Sacrum-Profanum stało się więc interesującą propozycją dla słuchaczy (zarówno profesjonalistów, jak i zwykłych miłośników muzyki) i dla wykonawców, oraz kompozytorów, którzy w Krakowie znaleźli okazję do ciekawej konfrontacji. Ponieważ organizatorzy starali się za każdym razem o prezentację możliwie obszerną, obejmującą twórców różnych pokoleń i różnych zainteresowań, każdy z festiwalowych koncertów był różny, a wszystkie obok przeżyć czysto artystycznych były interesującą lekcją muzyki naszych czasów. Szczególnie ciekawa okazała się tegoroczna edycja festiwalu (13–19 września), ponieważ po muzyce francuskiej, rosyjskiej, amerykańskiej i niemieckiej w tym roku przyszedł czas na kompozytorów brytyjskich.

Miałkość rozrywki

Jedną z idei przyświecających organizatorom festiwalu jest przełamywanie barier pomiędzy klasyką i muzyką rozrywkową. Te bariery słabną, ponieważ oba nurty muzyczne coraz częściej korzystają z tego samego instrumentarium i tych samych współczesnych środków technicznych. A jednak w tym roku różnica pomiędzy twórczością „poważną" i rozrywkową była bardzo wyraźna, bo tę drugą prezentowali twórcy wyrośli z kręgu didżejów, autorzy teledysków itp., wprawdzie cieszący się światową sławą, ale – jak się okazało – niemający wiele interesującego do zaproponowania. Jeśli jeszcze inaugurująca tegoroczny festiwal The Cinematic Orchestra występująca wraz z Sinfoniettą Cracovią w hali ocynowni huty Arcelor Mittal Poland mogła zaciekawić łagodnymi klimatami, to już prezentacja najsłynniejszych turpistycznych teledysków Chrisa Cunnighama w Łaźni Nowej miast bulwersować, po prostu po jakimś czasie nużyła.

Jeszcze gorzej było z okrzykniętym gwiazdą festiwalu Aphexem Twinem prezentującym swe elektroniczne osiągnięcia na finał festiwalu. W hali ocynowni artysta w trakcie dwóch wie-



The Cinematic Orchestra



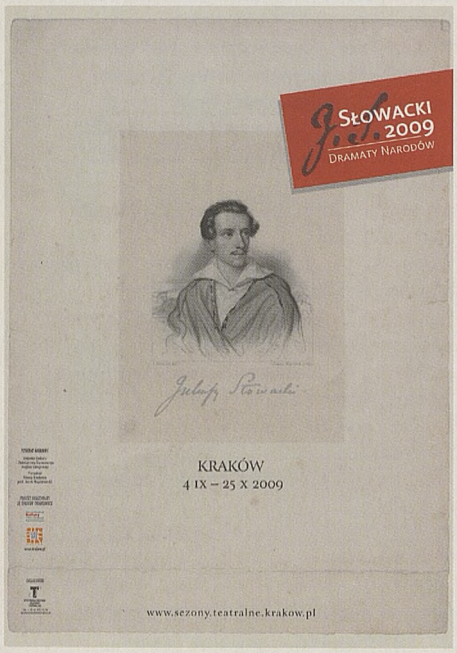
Tryptyk Stanisławowy. Słowacki–Wyspiański–Wojtyła w Katedrze

Od Słowackiego do Chagalla

• Teatralny Kraków zaczyna sezon 2009/2010 od obchodów 200. rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego. • Jesienią w planach m.in. *Szekspir* Andrzeja Seweryna, *Werter* Michała Borczucha i *Chagall* Adolfa Weltschka.

Zapomniany wieszcz

Że Juliusz Słowacki wielkim poetą był, wiemy nie tylko od Gombrowicza. Pamiętna scena z *Ferdydurke*, groteskowe dialogi o „nieśmiertelnym pięknie" jego wierszy w 200. rocznicę urodzin autora przytoczone będą pewnie nie raz. I nie bez przyczyny. Od czasów Gombrowicza w szkole niewiele się zmieniło, zaryzykowałabym wręcz stwierdzenie, że do wielkości Słowackiego nikt już nawet nie próbuje przekonywać, a wyjątki potwierdzają jedynie regułę. Gęsta, mistyczna, dramatyczna poezja autora *Genesis z Ducha* należy też do tych zasobów romantycznej literatury, po które współczesny teatr sięga niezwykle rzadko.



Idea kolejnej, poświęconej właśnie Słowackiemu odsłony festiwalu Dramaty Narodów wydaje się zacna, ale heroiczna, wręcz niemożliwa. Tym bardziej zasługuje na uwagę. Przypomnijmy, że pierwsza edycja festiwalu w 2005 r. poświęcona była „polskiemu dramatowi romantycznemu", w szczególności dramaturgii Adama Mickiewicza (w 150. rocznicę śmierci poety), a rok 2007 w całości poświęcony został Stanisławowi Wyspiańskiemu (100-lecie śmierci autora *Wesela*).

Festiwal zainaugurował spektakl *Tryptyk Stanisławowy. Słowacki – Wyspiański – Wojtyła* w wawelskiej katedrze, oparty na tekstach przywołujących jeden z najbardziej dramatycznych momentów w historii państwa polskiego i historii Kościoła – spór króla Bolesława Śmiałego z biskupem Stanisławem. Scenariusz Tadeusza Malaka i teatrologa prof. Jacka Popiela był wyborem z bogatego dziedzictwa literackiego trzech autorów: Juliusza Słowackiego, Stanisława Wyspiańskiego, Karola Wojtyły. Spektakl, jak podkreślają autorzy scenariusza, pokazywał ideowo-artystyczną dyskusję, której bohaterami są nie tylko Bolesław Śmiały i biskup Stanisław, ale i koncepcje historii państwa polskiego oraz Kościoła. U podstaw tej wielkiej dyskusji jest *Rapsod V* z mistycznego poematu romantycznego *Król-Duch* Słowackiego, z portretem potężnego, władczego i okrutnego zarazem Bolesława. Temat podjęty przez Słowackiego kontynuuje Wyspiański nie tylko w witrażu z wizją św. Stanisława, ale przede wszystkim w rapsodach: Bolesław Śmiały i Święty Stanisław, i w dramatach *Bolesław Śmiały* i *Skałka*. Z dziedzictwa Słowackiego i Wyspiańskiego wyrasta *Stanisław* Karola Wojtyły.

Beniowski w roli głównej

Kulminacja wydarzeń festiwalowych czeka nas w październiku. Najpierw na spektakl-wykład pt. *Lilla Weneda* zaprosi do szkoły teatralnej zespół Teatru Współczesnego ze Szczecina pod kierunkiem Anny Augustynowicz, bezkompromisowej interpretatorki klasycznego dramatu. Pokazywane niedawno w Krakowie jej *Wesele* to jedna z najbardziej oryginalnych, a jednocześnie konsekwentnych rewizji polskiej klasyki ostatnich sezonów.

Po *Beniowskiego* sięgną na scenie Opery Krakowskiej Anna Polony i Józef Opalski, przygotowując spektakl zatytułowany *Beniowskiego „awantur dziwnych łańcuch złoty"*, wysnuty z poematu Juliusza Słowackiego. Poemat dygresyjny Słowackiego, jedno z najbardziej porywających dzieł literatury romantycznej, to w krakowskiej PWST repertuar obowiązkowy już od pierwszego roku studiów. Jak żywo, jak intensywnie potrafi brzmieć, mieliśmy się okazję przekonać w 1996 roku, kiedy z okazji 50-lecia krakowskiej szkoły, wieczór z *Beniowskim* wyreżyserował w Teatrze im. Słowackiego Tadeusz Malak. Na scenie spotkali się najwięksi mistrzowie słowa, największe indywidualności: od Gustawa Holoubka przez Bogusława Lindę po najmłodszych. Kto był wtedy w teatrze, nie zapomni.

I tym razem zapowiada się prawdziwa uczta; obok Anny Polony usłyszymy w Krakowie m.in. interpretację Andrzeja Seweryna.

– *Beniowski* Juliusza Słowackiego jest arcydziełem – przypominają twórcy spektaklu. – Jednym z największych. Każde jednak przeniesienie poematu na deski sceniczne wymaga zabiegów adaptacyjnych. W naszej adaptacji wybraliśmy z utworu Słowackiego wątek awanturniczy czy może lepiej, romansowy. Centrum opowieści będą więc spotkania Beniowskiego z kobietami rzucone na dramatyczne tło wydarzeń historycznych. Pracowaliśmy nad adaptacją z prawdziwym wzruszeniem i podziwem dla wielkiego poety. Mamy nadzieję, że nasze oczarowanie tą poezją najwyższej klasy podzielimy z wszystkimi miłośnikami dzieła Juliusza Słowackiego – podkreślają Anna Polony i Józef Opalski.

W programie festiwalu jest także reżyserowany w Starym Teatrze przez Macieja Prusa spektakl-wykład pt. *Fantazy*, na podstawie niezrealizowanego scenariusza Konrada Swinarskiego. W tym intrygującym wydarzeniu wystąpią m.in Mariusz Bonaszewski i Jerzy Trela oraz sam reżyser.

„Madama Butterfly" w Operze Krakowskiej

Nowy sezon artystyczny Opera Krakowska rozpoczyna 25 września premierą spektaklu operowego Giacomo Pucciniego *Madama Butterfly*. Opera opowiada o nieszczęśliwym związku gejszy Cio-Cio-San z porucznikiem amerykańskiej marynarki Pinkertonem. Krakowską realizację przygotowali: Waldemar Zawodziński (reżyseria, scenografia), Tomasz Tokarczyk (kierownictwo muzyczne), Maria Balcerek (kostiumy) i Janina Niesobska (choreografia i ruch sceniczny). W głównych rolach zobaczymy m.in.: jako Cio-Cio-San Ewę Biegas, Aleksandrę Chacińską i Marię Mitrosz, jako Pinkertona Dariusza Stachurę, Pavla Tolstoya i Vasyla Grokholskiego.

O pracy nad spektaklem mówi reżyser WALDEMAR ZAWODZIŃSKI.


fot. M. Lebda

– Do występu w operze zaprosił pan wybitnych artystów. Jak pracuje się w takim gronie?

– Sytuacja jest komfortowa, mamy bardzo dobrą obsadę; podwójną, a w niektórych przypadkach nawet potrójną. Możemy mieć tu raczej problem z wyborem. To doświadczeni, bardzo utalentowani wokalnie i aktorsko artyści. Pracuje się z nimi jak w teatrze dramatycznym. Budowanie postaci jest kreacją wokalno-aktorską. Obecne pokolenia śpiewaków bardzo poważnie i dojrzale to traktują. Oni rozumieją, że teatr operowy jest syntezą sztuki.

– Zaprosił pan do współpracy nad operą osoby, z którymi współpracował już wcześniej. Czy to zgrany zespół?

– Od dawna współpracuję ze znakomitymi artystami. O takich współpracowników nie jest łatwo. Z jednej strony chciałoby się, żeby osoby, z którymi najściślej współpracujemy, rozumiały nas w pół słowa, żeby poruszały się w podobnych obszarach wyobraźni, żeby miały ten sam gust, smak artystyczny, a z drugiej strony aby były inspirujące, zaskakiwały i wzbogacały wspólną pracę swoją kreatywnością. Ważne, aby pozostali realizatorzy nie byli wykonawcami zamierzeń reżysera, ale żeby wspólnie z nim stwarzali sceniczną rzeczywistość. Im więcej mają do zaproponowania, tym są cenniejsi. Relacje twórcze, które wypracowaliśmy latami, są nie do przecenienia i dają duże poczucie bezpieczeństwa.

– Czy *Madama Butterfly* daje reżyserowi, scenarzyście duże możliwości interpretacyjne?

– Często spotykam się z twierdzeniem, że opery, które są najczęściej grane i należą do kanonu najpopularniejszych, nie dają nowych możliwości interpretacyjnych. To nieprawda. Ta werystyczna opera ma w sobie ogromną siłę poetycką i może być bardzo inspirująca. Moim celem nie jest zrobienie przedstawienia tak oryginalnego, jakiego jeszcze nikt nie zrobił. Chcę stworzyć swoją opowieść tej fascynującej historii. Tyle. Potem zobaczymy, jak moja interpretacja wpisze się w tradycję realizacji tej opery.

– *Madama Butterfly* cieszy się wielkim powodzeniem wśród współczesnej publiczności. Co widz może wynieść z niej dla siebie?

– Silne doznania muzyczne. To jest taka muzyka, która usatysfakcjonuje konesera i uraduje widza, który do opery chodzi rzadko, ale jest na muzykę otwarty. Opera ta może zadowolić bardzo szeroki krąg odbiorców, a szczególnie zadowoli tych, którzy chcą zobaczyć i usłyszeć historię miłości niezwykłej. Któż nie chciałby być tak bardzo kochany, czy tak bardzo kochać? Bo *Madama Butterfly* to opowieść o wielkiej miłości, o jakiej tylko można marzyć. Rzadko doznajemy takiej miłosnej iluminacji w życiu. Ale dzięki sztuce możemy się utwierdzić w przekonaniu, że jest ona możliwa.

– Czy widzowie mogą liczyć na jakąś niespodziankę?

– Najczęściej próby zaskoczenia publiczności obracają się przeciw realizatorom, okazuje się bowiem, iż widz nie daje się łatwo zaskoczyć. Zależy nam na tym, aby stworzyć świat sceniczny, który będzie zajmujący i najbardziej dojmująco opowie ten muzyczny dramat. Świat, dzięki któremu widz może przeżyć najwyższe wzruszenia. Jeśli uda nam się wyprowadzić z muzyki rzeczywistość, która na dwie godziny zawładnie widzem, to cel będzie osiągnięty.

– Jak ocenia pan warunki pracy w nowym gmachu Opery Krakowskiej?

– Tu, w nowej siedzibie, bardzo dobrze. A to ważne, aby komfort pracy pozwalał skupić się na istocie działania. To niezwykle ważne, bo od tego często zależy efekt naszej pracy.

Rozmawiała Małgorzata Lebda

Opera Krakowska zaprasza

na pierwszą premierę nowego sezonu artystycznego. 25 września br. na dużej scenie przy ul. Lubicz 48 odbędzie się premiera opery Giacomo Pucciniego *Madama Butterfly*.

Spektakl Opery Krakowskiej przygotowują Waldemar Zawodziński, wybitny polski reżyser i scenograf oraz Tomasz Tokarczyk, kierownik muzyczny Opery Krakowskiej. Wyjątkowo piękne kostiumy jednej z najwybitniejszych polskich kostiumografów – Marii Balcerek, efektowny ruch sceniczny w opracowaniu Janiny Niesobskiej, wykorzystanie nowoczesnej technologii sceny budynku Opery przy ul. Lubicz, a także muzyka mistrza Pucciniego gwarantują niezapomniane przeżycia.

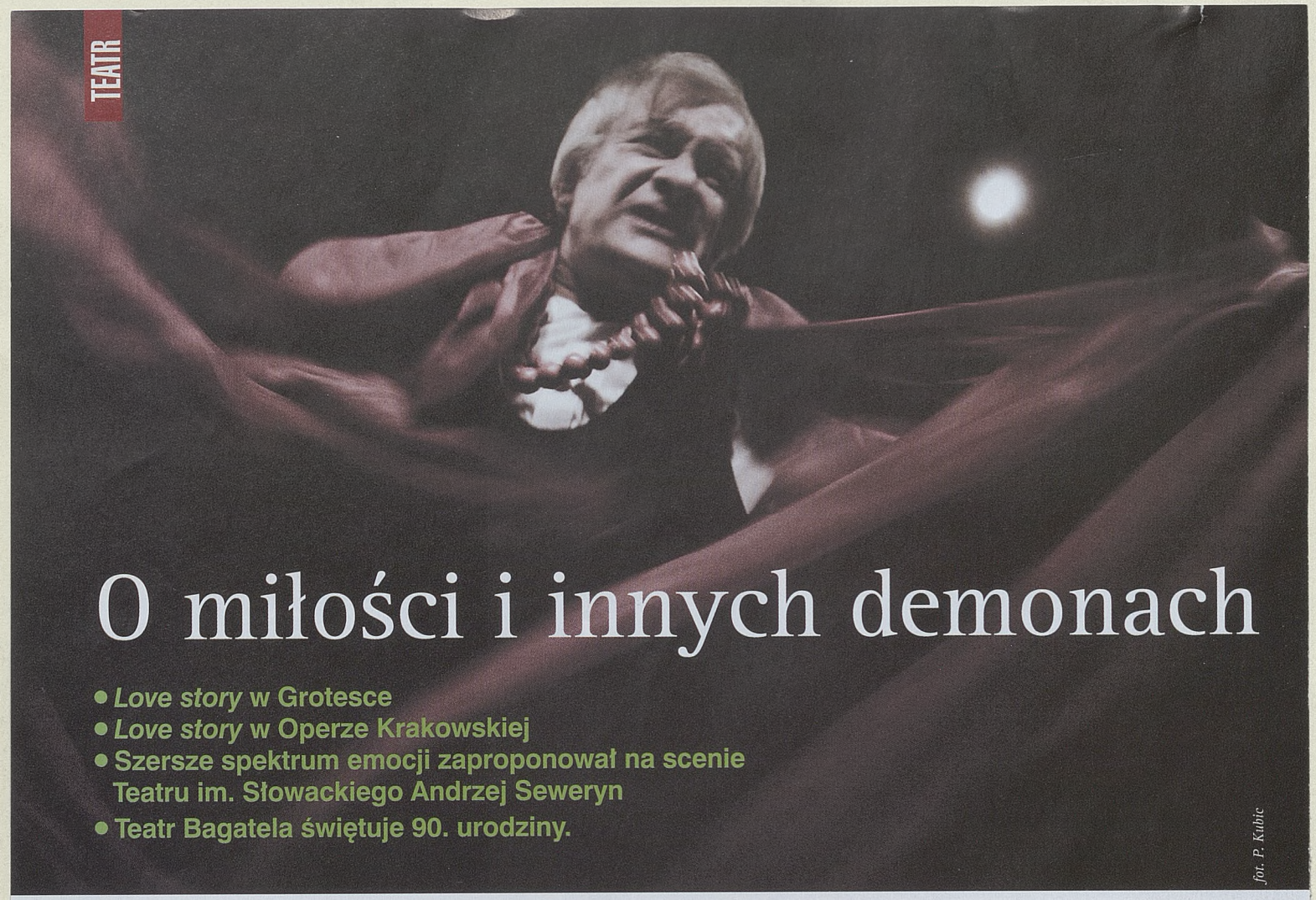
Madama Butterfly to jedna z najpiękniej-szych historii o zawiedzionej miłości. Opowiada o związku gejszy Cio-Cio-San z porucznikiem amerykańskiej marynarki. Ich małżeństwo nigdy nie było poważnie traktowane przez Amerykanina, za to Cio-Cio-San pozostała, niczym Penelopa, wierna ukochanemu. Długie oczekiwanie na jego powrót, rozbudzone nadzieje w zderzeniu z okrutną prawdą kończą się dla bohaterki tragicznie.

Opera wystawiona w lutym 1904 roku w mediolańskiej La Scali przyniosła sławnemu Pucciniemu sromotną klęskę. Przeświadczony o wartości dzieła kompozytor szybko otrząsnął się z ciosu. Wprowadził korekty do partytury i trzy miesiące później pokazał operę w teatrze w Brescii, tym razem z wielkim powodzeniem. Od tamtej pory do dziś utwór utrzymuje się w repertuarze światowym. Ambicją największych głosów sopranowych była interpretacja partii głównej bohaterki. Śpiewały ją Maria Callas, Victoria de los Angeles, Renata Tebaldi, Mirella Freni, Renata Scotto, Jadwiga Romańska, Teresa Żylis-Gara.

OBSADA:
Cio-Cio-San – Ewa Biegas / Aleksandra Chacińska / Maria Mitrosz;
Pinkerton – Vasyl Grokholskyi / Dariusz Stachura / Pavlo Tolstoy;
Suzuki – Agnieszka Cząstka / Bożena Zawiślak-Dolny;
Sharpless – Mariusz Godlewski / Leszek Skrla / Krzysztof Witkowski;
Goro – Imeri Kawsadze / Paweł Wunder;
Bonzo – Przemysław Firek / Bogdan Kurowski / Volodymyr Panki;
Kate Pinkerton – Monika Korybalska;
Yamadori – Michał Kutnik / Krzysztof Witkowski;
Yakuside – Andrzej Kusza / Jan Migała / Jerzy Wójcik;
Commissario Imperiale – Przemysław Bałka / Marcin Herman / Andrzej Wartalski;
L'uffiziale Del Registro – Marcin Herman / Ludomir Rogalewski;
La Madre – Anna Gajdzik-Krzyżanowska / Bożena Walczyk-Skrzypczak;
La Zia – Kamila Mędrek-Żurek / Aleksandra Sotnicka;
La Cugina – Marta Poliszot / Joanna Rakoczy;
oraz: Orkiestra, Chór oraz Balet Opery Krakowskiej.

Kolejne spektakle: 26, 27, 29 września; 28, 29 listopada; 1 grudnia 2009 r.

NR 9 WRZESIEŃ 2009 r.
KRAKÓW MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



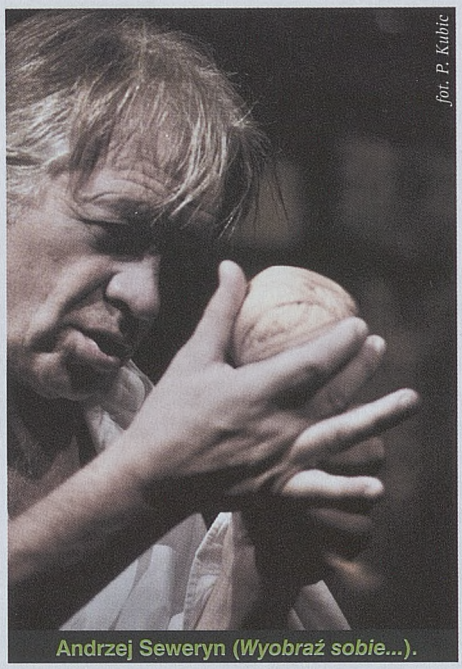
O miłości i innych demonach

- *Love story* w Grotesce
- *Love story* w Operze Krakowskiej
- Szersze spektrum emocji zaproponował na scenie Teatru im. Słowackiego Andrzej Seweryn
- Teatr Bagatela świętuje 90. urodziny.

fot. P. Kubic

Na początku był obraz. Reżyser i dyrektor Teatru Groteska Adolf Weltschek w Chagalla zapatrzył się wiele lat temu. Ostatecznym impulsem do zrobienia spektaklu okazała się wystawa w Muzeum Narodowym w Krakowie, a dobrym pretekstem – jubileuszowy sezon Groteski. Współczesny teatr niezwykle rzadko podejmuje tak otwartą konfrontację z klasycznym malarstwem, bojąc się dosłowności, czasem zbyt oczywistego piękna (kilka lat temu Piotr Cieplak zrobił w PWST prawie zupełnie niezauważone przedstawienie inspirowane obrazami Jerzego Nowosielskiego). Te próby ujawniają fundamentalną autonomię języków teatru i malarstwa, ale mogą stać się także przestrzenią niezwykłych poszukiwań i odkryć. Tak jak w przypadku Weltschka i Chagalla.

Weltschek nie boi się piękna, nie boi się poezji, nie wstydzi się miłości. Mówi o rzeczach najprostszych i jednocześnie najbardziej dotkliwych. Zdumiewające. By opowiedzieć historię Chagalla i jego ukochanej żony Belli wybiera formę wręcz symfoniczną, za to bez słów. *Hommage à Chagall* to monumentalna opowieść, wymagająca od aktorów opanowania 35 kostiumów-masek i ponad 30 lalek, z których część poruszana jest za pomocą 6-metrowych nici. Do tego multimedia, projekcje filmowe i muzyka, która organizuje rytm przedstawienia. Sceniczne obrazy, inspirowane pracami Chagalla zmieniają się w szalonym tempie – magiczne, przerażające, hipnotyczne. Zjawiskowy świat



fot. P. Kubic

Andrzej Seweryn (*Wyobraź sobie...*).

unosi się w powietrzu – realny i nierzeczywisty jednocześnie, bujający w obłokach i zanurzony w świecie pogromów, wojen i śmierci. Cudownym paradoksem jest, że w tej potężnej teatralnej formie na pierwszy plan wychodzi nuta intymna, ściśle kameralna. Bo *Hommage à Chagall* to historia świata, ale przede wszystkim historia dwojga zakochanych.

W operze bez kontrowersji

Amatorom klasyki będzie się podobać *Madama Butterfly* Pucciniego w Operze Krakowskiej. Z całą pewnością można stwierdzić, że odkąd zespół ma swą – krytykowaną, bo krytykowaną – ale jednak własną siedzibę przy Lubicz wyraźnie nabrał wiatru w żagle. Do opery się chodzi, o spektaklach się dyskutuje, wcale zresztą nie muszą się wszystkim podobać. Powstają regularnie, a kolejnej premierze nie towarzyszy, jak dawnej, atmosfera rozpaczliwej fety na walizkach.

Madama Butterfly to udane dzieło reżysera i scenografa Waldemara Zawodzińskiego. Udane, z pewnym zastrzeżeniem. Zawodziński przekonująco pokazał wielki miłosny dramat, eksponując bezradność głównej bohaterki wobec losu i nieubłaganego przeznaczenia. Jego inscenizacja jest wiarygodna psychologicznie i efektowna w formie. Po raz pierwszy w teatrze przy Lubicz na taką skalę wykorzystano teatralną maszynerię – potężne, zsuwające się z góry hiperrealistyczne elementy dekoracji robiły imponujące wrażenie. Tomasz Tokarczyk prowadził orkiestrę precyzyjnie, starannie balansując pomiędzy zapisanymi w partyturze napięciami. Moje zastrzeżenie wzbudziły kostiumy – natrętne, pstrokate, nawiązujące do wschodniej stylistyki, zdecydowanie pozbawione jednak orientalnej szlachetności. (O *Madamie* – nieco inaczej i obszerniej pisze Anna Woźniakowska na s. 82 tego „K". Tamże – zdjęcia. Red.)

Inaczej niż najgłośniejsi dziś operowi reżyserzy Waldemar Zawodziński nie szukał w *Butterfly* własnej historii. Skupił się



Opowieść o miłości i honorze

bardziej że wciąż żywa jest wśród melomanów legenda bardzo „japońskiej" inscenizacji Kazimierza Korda i Krystyny Zachwatowicz z 1969 roku z niezrównaną Jadwigą Romańską w roli tytułowej. Czy obecni realizatorzy i wykonawcy potrafili się zmierzyć z tamtą legendą? Czy oddali sens i urok dzieła Pucciniego?

Waldemar Zawodziński jako inscenizator oper budzi moje zaufanie. Nigdy nie wysuwa się na plan pierwszy, przed autorów reżyserowanego dzieła. Wgłębia się zarówno w tekst, jak i w muzykę. To niby oczywiste, ale przecież praktyka nie tylko naszych scen operowych wskazuje, że nader rzadkie. Jest też Zawodziński z reguły reżyserem i scenografem, tworzy więc dzieło spójne. 25 września oglądając premierę *Butterfly* z radością stwierdziłam, że moje zaufanie nie zostało zachwiane. Zobaczyłam dobrze opowiedzianą rzecz o miłości i honorze, spektakl dotykający odwiecznych problemów odpowiedzialności za uczucia i uczynki. Oprawa opowiadanej historii przypominała miejsce akcji: rozsuwające się ściany miłosnego gniazdka Cio-Cio-San i Pinkertona, świątynne wałki modlitewne poruszane przez Suzuki, nie tylko służącą, ale i opiekunkę małej gejszy (w tej roli bardzo dobra aktorsko i wokalnie Agnieszka Cząstka) błagającą o litość dla swej pani, lampiony i kwiaty (może zbyt liczne jak na mój gust), a przede wszystkim strój i gest japońskich uczestników dramatu. *Notabene* mogliśmy przy okazji poznać pełnię technicznych możliwości nowej sceny operowej rekompensujących jej niewielkie rozmiary.

Waldemar Zawodziński umie dobierać sobie współpracowników. Tym razem ruch sceniczny i choreografia były dziełem Janiny Niesobskiej, kostiumy zaprojektowała Maria Balcerek. Wszystkie te elementy tworzyły inscenizację bardzo spójną, nakreśloną z delikatnością grafiki japońskiej. Sukces premiery to nie tylko zasługa inscenizatorów, w równym stopniu wykonawców. Spektakl 25 września wystawił dobre świadectwo Operze Krakowskiej. To zresztą kolejna interesująca inscenizacja na tej scenie. Dobiegający końca pierwszy rok w nowym gmachu pod względem artystycznym był w pełni udany.

Muzycznie przygotował *Butterfly* i poprowadził premierowy spektakl Tomasz Tokarczyk. Uczynił to z pietyzmem dla partytury Pucciniego i z dużą wrażliwością muzyczną. Orkiestra grała szlachetnym dźwiękiem dobrze współpracując z akcją sceniczną, równie udanie wywiązał się ze swego zadania chór przygotowany przez Marka Kluzę.

Wszyscy – bez wyjątku – obecni na scenie 25 września (Opera Krakowska oprócz oglądanej przeze mnie przygotowała jeszcze dwie inne obsady) nie tylko pięknie śpiewali, ale i wspólnie zbudowali dobre, przekonywające widowisko teatralne. Bo w *Madamie Butterfly* nie ma właściwie ról drugoplanowych. Każda pojawiająca się na scenie osoba zagęszcza dramat: Bogdan Kurowski w partii groźnego Bonzo przeklinającego siostrzenicę, Krzysztof Witkowski jako książę Yamadori ubiegający się o względy Butterfly, Monika Korybalska – Kate Pinkerton, która wprawdzie pyta, czy Butterfly jej wybaczy, ale nie myśli zrezygnować ze swych praw do Pinkertona i do jego dziecka, urzędnicy, rodzina Cio-Cio-San, wszyscy oni stworzyli dobre podglebie do działań głównych postaci dramatu.

W operze Pucciniego na scenie dominuje Cio-Cio-San. Jeśli nawet nie jest obecna fizycznie, na niej skupiają się myśli i rozmowy pozostałych protagonistów. Jej relacje z trzema mężczyznami bezpośrednio zaangażowanymi w tragedię ukazują różne aspekty jej charakteru. Bardzo dobry Paweł Wunder jako śliski stręczyciel Goro, świetny Mariusz Godlewski w partii przenikliwego, ale bezwolnego, zmęczonego życiem Konsula, i Pavlo Tolstoy – chłopięcy, beztroski i bezmyślny, skupiony tylko na sobie Pinkerton, są swoistym lustrem, w którym odbija się urok, siła i doskonałość moralna głównej bohaterki.

W partię Cio-Cio-San na premierze wcieliła się Ewa Biegas. Artystka, doskonała aktorsko i wokalnie, stworzyła postać jak z filmów Kurosawy. Powiedzieć można, że była bardziej walczącym o honor samurajem niż delikatną kochającą gejszą. Od pierwszego pojawienia się na scenie zapowiadała dramat, a przecież idąca do ślubu Cio-Cio-San jest pełna radości i nadziei. Dopiero z czasem, pod wpływem zachodzących wydarzeń dojrzewa i świadomie wybiera śmierć. Czy tak zarysowana postać Butterfly zaprzecza zamierzeniom Pucciniego? Chyba nie. *Madama Butterfly* na scenie Opery Krakowskiej to piękny i wzruszający spektakl.

na wiernym przekazaniu intencji autorów dzieła. Trudno to krytykować. A że próby reinterpretacji opery mogą przynieść skutki dziwaczne, udowodnił niedawno w Krakowie guru operowej reżyserii Michał Znaniecki usiłujący *Don Giovanniego* Mozarta „przepisać" na film Felliniego. Pomysł tyleż ciekawy, co karkołomny i w gruncie rzeczy nietrafiony. O takich inscenizacjach chce się jednak dyskutować – propozycje Znanieckiego czy Mariusza Trelińskiego są kontrowersyjne, ale przynoszą coś więcej niż zadowolenie z udanego wykonania. Ja wolałabym to „coś więcej", może błądzące nawet, ale własne.

Seweryn bez zaskoczenia

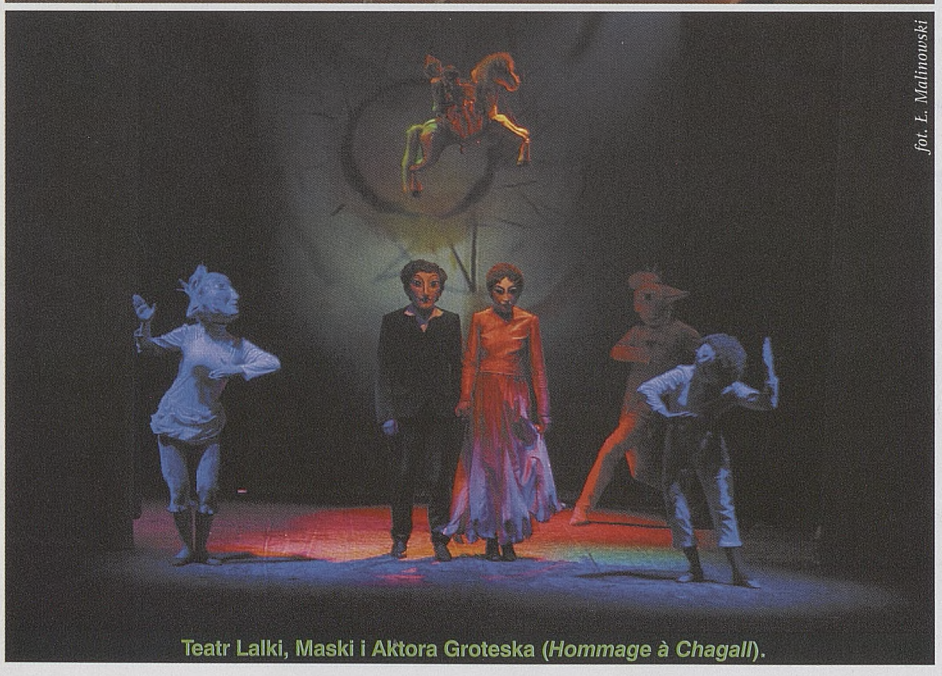
Andrzej Seweryn, socjetariusz Komedii Francuskiej w Paryżu potrafi zagrać wszystko. Ale to chyba wie każde dziecko? Piszę te słowa ładnych kilka dni po premierze, obrazy ze spektaklu *Wyobraź sobie...* w Teatrze im. Słowackiego wracają z mocą i wyrazistością. Seweryn jako dziwaczejąca Lady Makbeth, Seweryn jako popadający w szaleństwo Otello, Seweryn dialogujący z psem (niewiarygodne, ale pies nie ukradł Sewerynowi tej sceny), Seweryn jako Julia, podstępny Ryszard gaworzący jak dziecko, bełkocący jak pijak. Komiczny, dziki, śmiertelnie poważny na chwilę przed śmiercią, obnażony, hamletyzujący.


fot. P. Kubic

U. Grabowska i G. Mielczarek (*Woyzeck*).

Spektakl na dużej scenie teatru to montaż kilkunastu scen z różnych, częściej lub rzadziej grywanych u nas sztuk Szekspira. Aktor na prawie pustej scenie jest demiurgiem, który stwarza świat – czy jest to obłąkana planeta Otella, czy pełen majaków i obsesji kosmos żony „wodza Glamis, wodza Cawdoru", jak wróżą wiedźmy. Jest prawdziwym wcieleniem owidiuszowskiej metamorfozy, która nigdy się nie skończy – wystarczy gest, a ciała ewoluują, zmieniając formy. Tak nakazują bogowie, takie zasady rządzą światem. W spektaklu w reżyserii Jerzego Klesyka jedyną zasadą jest sam Andrzej Seweryn. To mistrzowski popis jego aktorskiej wszechmocy udzielanej widzowi z rozmachem graniczącym z pychą. Dlaczego pomyślałam o Owidiuszu, i jego niekończących się przemianach? Bo pokazują, że mistrzowskie rzemiosło to przecież tylko środek, a w *Wyobraź sobie...* zamiast celu najdobitniej ujawniają się środki.


fot. L. Malinowski


fot. L. Malinowski

Teatr Lalki, Maski i Aktora Groteska (*Hommage à Chagall*).

Bagatela na 90. urodziny

Anegdota głosi, że w 1918 roku Marian Dąbrowski, twórca Teatru Bagatela, szukając nazwy dla powstającej sceny, poprosił grono przyjaciół, by wymyślili coś atrakcyjnego. Panowie długo debatowali, w końcu Tadeusz Boy-Żeleński, obecny tam również, westchnął: – Znaleźć dobrą nazwę dla teatru... bagatela...

– Jest! – zawołać miał na to Dąbrowski – „BAGATELA"!!!

25 października 1919 roku premierą sztuki G. Zapolskiej *Kobieta bez skazy* nowa krakowska scena rozpoczęła swoją działalność. Bagatela jest teatrem o długiej i pasjonującej historii. Były w niej pożary, konflikty, poważne wypadki, było też kino – w czasie wojny „tylko dla Niemców". Była rewia i Teatr Młodego Widza. W spektaklach legendarnej Marii Biliżanki pojawili się m.in. Tadeusz Łomnicki, Danuta Szaflarska, Wiktor Sadecki. I oczywiście Roman Polański! Działał też przy Karmelickiej Państwowy Teatr Rozmaitości (od 1 stycznia 1958 do 30 czerwca 1973), z którym współpracowali Pronaszko, Mikulski, Skarżyński, Cybulski, Pankiewicz i Anda Kitschmann. W 1974 w Bagateli scenografię do jednego ze spektakli zaprojektował Tadeusz Kantor. To ważny fragment historii krakowskiego teatru.

Mam z Teatrem Bagatela pewien problem. Nie śmieszą mnie farsy i z rozmysłem ich unikam. Z uwagą śledzę jednak repertuar, w którym obok typowo rozrywkowych przedstawień pojawiają się adaptacje klasyki czy przykłady nowej dramaturgii. Szkoda, że rozpoczynający jubileusz *Woyzeck* – spektakl w reżyserii Andrzeja Domalika okazał się pozbawionym emocji, dość bezbarwnym brykiem dla nielubiących czytać licealistów. Bagatela jest teatrem dumnym ze swego frekwencyjnego sukcesu. Słusznie. Frekwencja nie zawsze oznacza sukces artystyczny, a takich przede wszystkim życzyłabym teatrowi w dniu 90. urodzin.

Justyna Nowicka

Joanna Zachuta

Kobieta Motyl W KRAKOWIE

Opera Krakowska z wielkimi nadziejami wchodzi w pierwszy pełny sezon teatralny we własnej siedzibie.

25 września 2009 roku to data szczególna pod wieloma względami. Premiera „Madamy Butterfly" Giacomo Pucciniego, najnowszej produkcji krakowskiej sceny rozpoczęła na dobre normalne, codzienne funkcjonowanie, oddanego do użytku w grudniu ubiegłego roku gmachu Opery Krakowskiej. Tych kilka miesięcy wypełnionych zagospodarowywaniem nowej siedziby, licznymi poprawkami, oczekiwaniem na zamontowanie nowoczesnego wyposażenia technicznego sceny, likwidowaniem niedoróbek (by wspomnieć o warunkowym dopuszczeniu przez straż pożarną widowni ze względu na zbyt małą liczbę wyjść i brak skutecznego systemu oddymiania), spowodowało, iż o inwestycji mówiono głośno, ale w kontekście popełnionych błędów w poszczególnych etapach jej powstawania. Zagadnienia artystyczne pozostawały na dalszym planie. Dodatkowo pojawiły się kłopoty z finansowaniem bieżącej działalności teatru – obcięty o 2,5 mln złotych budżet – i niekończące się dyskusje o nietrafionym kształcie architektonicznym, dysfunkcyjnym zapleczu itp. Słowem trudny początek. W tej dusznej atmosferze rodziła się trzecia produkcja przygotowywana z myślą o nowej scenie.

Wyimaginowany świat Cio Cio San

Dwie pierwsze – „Diabły z Loudun" Pendereckiego i „Don Giovanni" Mozarta w kontrowersyjnej reżyserii Michała Znanieckiego – pokazały gotowość zespołu Opery do rozpoczęcia regularnej pracy. „Madama Butterfly" miała tę gotowość nie tylko potwierdzić, ale też udowodnić, że Kraków doczekał się wreszcie teatru operowego z prawdziwego zdarzenia. I nie o historię dokonań artystycznych chodzi, bo tych w Krakowie nigdy nie brakowało, więcej – widzowie wręcz przywykli do wysokiego poziomu inscenizacji. Dowiodły tego poprzednie, wybitne produkcje „Madamy Butterfly" z roku 1967, potem 1969 w reżyserii Kazimierza Korda, z kostiumami Krystyny Zachwatowicz i Jadwigą Romańską w partii tytułowej czy jeszcze wcześniejsza z 1959 z debiutującą w tej roli Teresą Żylis-Garą i towarzyszącym jej znakomitym tenorem Kazimierzem Pustelakiem. Obie solistki były gośćmi specjalnymi podczas obecnej premiery.

Reżyser spektaklu Waldemar Zawodziński skoncentrował się przede wszystkim na – jak to określił – „perfekcyjnym scenariuszu muzyczno-literackim" skonstruowanym niezwykle starannie przez librecistów Luigiego Illicę i Giuseppe Giacosę. Wydobył na plan pierwszy zestawione w opozycji relacje głównych bohaterów: Cio Cio San – Pinkerton, Cio Cio San – Suzuki. Więź łącząca amerykańskiego porucznika i młodziutką Butterfly tak bardzo kontrastuje z bezgranicznym oddaniem Suzuki, że idąc za tą wskazówką jaskrawo widać nieuchronność końca żyjącej we własnym, nieco wyimaginowanym świecie Cio Cio San. Jej dramat polega na błędnej interpretacji zamiarów beztroskiego Amerykanina, który z nudów i dla przygody postanawia ożenić się; w końcu tylko na użytek japoński, na 999 lat. Reżyser chce wierzyć, że Pinkerton jest bezmyślnym lekkoduchem, nie zaś cynicznym, wyrachowanym i bezwzględnym, na dodatek wykorzystującym naiwność 15-letniej dziewczyny, draniem.



M. Godlewski, A. Cząstka, E. Biegas - scena zbiorowa.

XII – I 2010

Świetnie w tej roli odnalazł się Pavlo Tolstoy. Tenor, obdarzony mocnym, nośnym głosem, zrealizował w pełni swe zadanie. Aktorsko bardzo przekonywujący, wokalnie swobodny, aczkolwiek niektóre frazy nieco drażniły nadmiarem ekspresji. To powodowało gubienie subtelnej linii melodycznej, szczególnie w duecie kończącym akt I „Bimba dagli occhi pieni di malia", w którym Pinkerton porównuje poślubioną właśnie Cio Cio San do zwiewnego motyla, oraz w słynnej arii „Addio, fiorito Asil" z aktu ostatniego.

Tytułowa Butterfly jest postacią krańcowo odmienną. Zafascynowana oficerem marynarki USA, bez namysłu podporządkowuje wszystko, swoje życie, tradycje, wierzenia temu, co od tej pory będzie dla niej nadrzędne – wielkiej, tragicznej miłości. Śmierć stanie się jedyną do zaakceptowania formą ocalenia tego uczucia. To „zderzenie ludzi z zupełnie innego kruszcu" podkreślali realizatorzy. Ewa Biegas, wykonująca partię Butterfly, w premierowym spektaklu wykreowała postać nad wyraz emocjonalną i spontaniczną. Nie do końca przekonała mnie jej nadekspresja aktorska. Zważając na ascetyczne, powściągliwe i tajemnicze zachowania Japonek, nie jestem pewna, czy tak okazywane uczucia, rozdzierająca rozpacz czy bezgraniczna i nieukrywana, uparcie pielęgnowana nadzieja na powrót Pinkertona mieściłyby się w kanonie dalekowschodnich zachowań? Przeszywający, silny sopran współgrał co prawda z koncepcją roli, ale zabrakło delikatności, słodyczy i wdzięku przypisanych tej partii. 15-letnia Cio Cio San od początku była dojrzałą Butterfly.



A. Cząstka, E. Biegas, W. Korneluk.

Wyjęta z japońskich drzeworytów

Zachwyciło natomiast sceniczne ujęcie postaci Suzuki, służącej, ale jednocześnie przyjaciółki i troskliwej opiekunki. Odtwórczyni tej roli – Agnieszka Cząstka zdawała się być wyjęta z japońskich drzeworytów. W charakterystycznej pozie, zawsze lekko pochylona, z dystansem i ową tajemnicą, której brakło Butterfly. Równie konsekwentnie poprowadzona postać Sharplessa (Mariusz Godlewski) mogła się podobać, ale niestety, gdzieś umknęła siła wyrazu, która powinna jednak zaznaczyć się bardziej zdecydowanie. Zmęczony życiem i zbyt dużą ilością wypijanej whisky, nie mówiąc o nieznośnych upałach i innych niedogodnościach klimatycznych portowego Nagasaki, konsul niby ostrzegał przed nieszczęściem, niby współczuł, niby otrząsnął się z letargu obojętności, ale chyba nie do końca... Wokalnie też. Z kolei Paweł Wunder jako chciwy Goro najwyraźniej bawił się swą rolą.

Dobrze spisała się Orkiestra Opery Krakowskiej pod batutą Tomasza Tokarczyka. Instrumenty brzmiały precyzyjnie i czysto, muzycy starannie oddali charakter opowiadanej historii. Byli plastyczni. Potrafili doskonale wtopić się w całość spektaklu, ale jednocześnie pozostali równorzędnym partnerem, a nie wyłącznie akompaniatorem. Rozczarował mnie natomiast Chór (przygotowanie: Marek Kluza), który zazwyczaj był bardzo mocną stroną krakowskich przedstawień. Tym razem po prostu nijaki, jakby schowany i to nie dlatego, że śpiewał spoza sceny. Szkoda, bo choć „Coro a bocca chiusa" jest „mruczanką" bez słów, rodzajem kołysanki, to powinien – podkreślając tragizm sytuacji – wzruszać.

Wzorce zaczerpnięte z pokazów mody

Waldemar Zawodziński oprócz reżyserii, przygotował także projekt scenografii. Z założenia oszczędny w środkach, odrealniony świat niepotrzebnie udekorował czymś, co miało symbolicznie wprowadzić widza

ZWIĄZEK ARTYSTÓW WYKONAWCÓW
Stoart

Ochrona praw artystów wykonawców utworów muzycznych i słowno-muzycznych

adres: ul.Nowy Świat 64
00-357 Warszawa
tel./fax + 48 22 827 83 71
e-mail: stoart@stoart.org.pl
www.stoart.org.pl

Kraków. "Madama Butterfly" otworzy sezon w Operze Krakowskiej

Autor	-
Źródło	PAP
Data	21 września 2009

Premiera spektaklu "Madama Butterfly" Giacomo Pucciniego zainauguruje w piątek nowy sezon Opery Krakowskiej.

Reżyserem i autorem scenografii jest Waldemar Zawodziński. Nad stroną muzyczną czuwa Tomasz Tokarczyk, kierownik muzyczny Opery Krakowskiej.

Waldemar Zawodziński podkreślił, że wciąż obecna w światowym repertuarze opera Pucciniego to "niezwykle dogłębny i kameralny dramat", przy realizacji którego jako reżyser musiał zmierzyć się z legendarnymi inscenizacjami poprzedników.

- Moi mistrzowie mówili mi, że jeśli przychodzi się zmierzyć z legendami - a siłą faktu przy tak częstym wystawianiu tego tytułu możemy przywołać wiele znakomitych realizacji - to trzeba tym legendom bardzo uważnie się przyjrzeć. Zanalizować, zrozumieć: po co, dlaczego stworzono taki, a nie inny świat sceniczny, po czym trzeba spróbować zapomnieć, bo każdy będzie miał swoją opowieść - powiedział Zawodziński.

Inscenizacja ma potrójną obsadę większości pierwszoplanowych ról. W postać Cho-Cho-San wcielą się: Ewa Biegas, Aleksandra Chacińska i Maria Mitrosz. Nie rozstrzygnięto jeszcze, która z nich wystąpi w premierowym przedstawieniu. W roli Pinkertona wystąpią: Vasyl Grokholskyi, Arnold Rutkowski i Pavlo Tolstoy. Odtwórcami roli Sharplessa będą: Mariusz Godlewski, Leszek Skrla i Krzysztof Witkowski, a Suzuki: Agnieszka Cząstka i Bożena Zawiślak-Dolny.

- Ponieważ realizatorzy bardzo szczegółowo pracują nad każdym detalem partytury, nie wyobrażam sobie, żeby po miesiącu, czy nawet po roku, wprowadzić którąkolwiek z pierwszoplanowych postaci w przeciągu dwóch-trzech prób. To nierealne. Soliści wykonali tak potężną pracę, że nie jest w stanie nikt tego otworzyć; to już będzie nie ten spektakl, nie to, o co chodziło reżyserowi. Dlatego postanowiliśmy zainwestować w potrójną obsadę, żeby za każdym razem ten spektakl był taki, jak na premierze - wyjaśnił Tomasz Tokarczyk.

Autorka choreografii i ruchu scenicznego Janina Niesobska podkreśla silną i wyrównaną obsadę głównych postaci. - Dyrekcja zapewniła doskonałą obsadę. Wszystkie trzy panie są znakomite, mężczyźni także. Są młodzi, piękni i doskonale śpiewający - ocenia Niesobska.

Aleksandra Chacińska (na zdjęciu), która po raz pierwszy w karierze zmierzy się z rolą Cho-Cho-San, podkreśla, że postać ta jest pod każdym względem niełatwa, zwłaszcza dla młodej śpiewaczki. - Partia Cho-Cho-San jest bardzo skomplikowana emocjonalnie, a przy tym wokalnie, wymaga od śpiewaczki wielu wokalnych Everestów" - podkreśliła Chacińska.

Autorka choreografii i ruchu scenicznego Janina Niesobska postanowiła wprowadzić do spektaklu partie baletowe. Maria Balcerek zaprojektowała kostiumy inspirowane japońskimi strojami.

Podczas spektaklu po raz pierwszy zostaną użyte techniczne urządzenia sceny - m.in. zapadnie, które zostały zainstalowane w operze po niedawnej rozbudowie jej gmachu.

Premiera odbędzie się w ostatnim dniu Kongresu Kultury Polskiej.

- Premiera spektaklu nie jest wybrana przypadkowo, ponieważ będzie imprezą towarzyszącą Kongresowi Kultury Polskiej i w piątek mamy zaszczyt oraz przyjemność gościć na tej premierze uczestników kongresu - powiedział dyrektor Opery Krakowskiej, Bogusław Nowak.

"Madama Butterfly", to opowieść o zawiedzionej miłości gejszy Cho-Cho-San z porucznikiem amerykańskiej marynarki. Opera została wystawiona w lutym 1904 r. w mediolańskiej La Scali (a w Polsce cztery lata później, w Warszawie). Premiera została źle przyjęta. Puccini wprowadził korekty do partytury i w trzy miesiące później z dużym powodzeniem pokazał operę w teatrze w Brescii. Partię głównej bohaterki śpiewały największe sopranistki, m.in. Maria Callas, Victoria de los Angeles, Renata Tebaldi, Mirella Freni, Renata Scotto, a z Polek: Jadwiga Romańska i Teresa Żylis-Gara. Te dwie ostatnie śpiewaczki pojawią się w piątek w Operze Krakowskiej.

Więcej informacji

Spektakle

1

Madama Butterfly
reż. Waldemar Zawodziński

Powiązane osoby

3

Aleksandra Chacińska

Tomasz Tokarczyk

Waldemar Zawodziński

ENCYKLOPEDIA TEATRU POLSKIEGO
© 2016 Materiały zawarte na stronie są chronione prawem autorskim

Kraków. "Madama Butterfly" cztery razy we wrześniu

Tytuł oryginalny	"Madama Butterfly" cztery razy we wrześniu
Autor	Agnieszka Malatyńska-Stankiewicz
Źródło	Dziennik Polski nr 222 online
Data	22 września 2009

Premierą opery "Madama Butterfly" Giacomo Pucciniego, jednej z najpiękniejszych historii o zawiedzionej miłości, Opera Krakowska rozpocznie w piątek nowy sezon.

Spektakl premierowy, towarzyszący odbywającemu się w Krakowie Kongresowi Kultury, będzie także pierwszą prezentacją nowych urządzeń scenicznych.

- Ta opera to kameralny dramat, skonstruowany według perfekcyjnego scenariusza. Udało nam się skoncentrować na tytułowej bohaterce, która jest jedną z najbardziej niezwykłych postaci w historii kultury - mówi Waldemar Zawodziński, reżyser przedstawienia. - Wbrew pozorom to nie zderzenie dwóch światów - Wschodu i Zachodu - jest najważniejsze, ale zderzenie dwojga ludzi z innego kruszcu, inaczej duchowo skonstruowanych.

W głównej roli Cho-Cho-San, japońskiej gejszy zakochanej w poruczniku amerykańskiej marynarki wystąpią na zmianę: Ewa Biegas, Aleksandra Chacińska i Maria Mitrosz.

- Każda z tych Cho-Cho-San jest zupełnie inna. Warto będzie obejrzeć spektakl we wszystkich trzech obsadach, bo w każdej dominować będą inne emocje, inne techniki wokalne - mówi Tomasz Tokarczyk, dyrygent, kierownik muzyczny przedstawienia.

- To bardzo skomplikowana partia, ciągle stawia przed nami ogromne wymagania, kolejne szczyty do zdobycia - mówi Aleksandra Chacińska.

Większość obsady przedstawienia jest potrójna. I tak w roli porucznika Pinkertona wystąpią: Vasyl Grokholsky, Arnold Rutkowski i Pavlo Tolstoy, zaś w roli służącej Suzuki: Agnieszka Cząstka i Bożena Zawiślak-Dolny.

- Do opery został wprowadzony balet, ale tylko do niektórych scen. Wzbogaca on wejście Butterfly i jej ślub. Wprowadziłam także ruch do chóru; śpiewacy tańczą - mówi Janina Niesobska, choreografka.

Kostiumy zachwycają formą i kolorami. Spektakl jest reklamowany zdjęciami z modelami, a nie śpiewakami, prezentującymi kostiumy. - U nas nie będzie cepelii. Raczej interesuje nas instalacja, forma, bardziej rzeźba niż kostium - tłumaczy Maria Balcerek, autorka kostiumów.

We wrześniu "Madama Butterfly" zostanie wystawiona cztery razy; kolejne dwa spektakle pokazane zostaną dopiero w listopadzie. - Pierwsze cztery spektakle odbędą się jeszcze przy ograniczonej ilości widzów, co podyktowane jest instalacją oddymiającą, która zostanie odebrana dopiero pod koniec września. Zdaję sobie sprawę, że widzowie odchodzą od kasy niepocieszeni. Moglibyśmy zagrać 10 spektakli pod rząd, ale musimy wykonywać też inny repertuar - dodaje dyrektor Bogusław Nowak.

Czy opera będzie grała w przyszłym roku przynajmniej pięć razy w tygodniu? - Taki mieliśmy plan, ale dowiedziałem się, że nasza dotacja w przyszłym roku będzie o 2,5 miliona mniejsza, a to znaczy, że będziemy się starać, aby grać trzy, czasem może cztery razy w tygodniu - podkreśla dyrektor Nowak.

W nadchodzącym sezonie Opera Krakowska planuje jeszcze: w grudniu operę "Tosca", przedstawienie odświeżone w reżyserii Laco Adamika, z udziałem Andrzeja Dobbera; w marcu premierę "Carmen" z Małgorzatą Walewską w tytułowej roli; w czerwcu "Barona cygańskiego"; w kwietniu nowy spektakl baletowy do muzyki Chopina. Planowane są także dwa widowiska kameralne (jedno dla dzieci), a także koncerty z udziałem Mariusza Kwietnia i Aleksandry Kurzak.

Więcej informacji

Spektakle

1

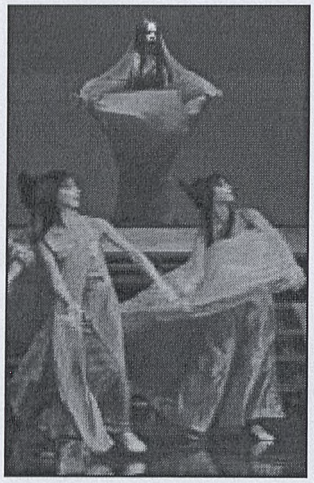
Madama Butterfly
reż. Waldemar Zawodziński

ENCYKLOPEDIA TEATRU POLSKIEGO
© 2016 Materiały zawarte na stronie są chronione prawem autorskim

3

Madama Butterfly - Pani Motyl

"Madama Butterfly" w reż. Waldemara Zawodzińskiego w Operze Krakowskiej. Pisze Anna Woźniakowska w Dzienniku Polskim.



«Podobno w tajniki japońskiego obyczaju wprowadzała Pucciniego pani Ohayama, żona ówczesnego posła Japonii w Rzymie. Widać była dobrą nauczycielką, skoro kompozytorowi (przy wydatnej pomocy dwójki wypróbowanych przyjaciół - librecistów, czyli Luigiego Illiki i Giacoma Giacosy) udało się stworzyć jedyny w swoim rodzaju portret kochającej Japonki, o której podobno mówił, że jest jak wrażliwy, pokorny kwiat o subtelnie podniecającym zapachu. Wprawdzie "Madama Butterfly" na premierze w Mediolanie przed stu pięcioma laty została wygwizdana, ale było to tylko kolejne udowodnienie znanego ze scen operowych twierdzenia, że pierwsze klęski zmieniają się później w triumfy. Przez przeszło sto lat Cio-Cio-San niezmiennie króluje wśród bohaterek muzycznej sceny, a teatry, które sięgną po dzieło Pucciniego i wystawią je należycie, mają sukces zapewniony.

W Krakowie "Butterfly" nie gościła od dziesiątków lat, żywa natomiast wciąż jest legenda bardzo "japońskiej" inscenizacji Kazimierza Korda i Krystyny Zachwatowicz z niezrównaną Jadwigą Romańską w tytułowej roli. W miniony piątek, na scenie Opery Krakowskiej, obejrzeliśmy operę Pucciniego w reżyserii i scenografii Waldemara Zawodzińskiego, w kostiumach Marii Balcerek, z ruchem scenicznym przygotowanym przez Janinę Niesobską i pod kierownictwem muzycznym Tomasza Tokarczyka.

Spektakl towarzyszył Kongresowi Kultury Polskiej, był też otwarciem nowego sezonu artystycznego w Operze Krakowskiej. Ta inauguracja okazała się ze wszech miar udana. Po raz pierwszy mogliśmy ocenić i docenić możliwości techniczne krakowskiej sceny operowej, a choć kwiatów i lampionów było na mój gust trochę za dużo, to przecież przyszli reżyserzy i scenografowie nie będą mogli narzekać na techniczne ograniczenia ich wspaniałych wizji. Ale ad rem...

Realizatorzy "Madamy Butterfly" stworzyli wzruszający spektakl, cieszący oko i ucho. Wszyscy - bez wyjątku - obecni na scenie nie tylko pięknie śpiewali, ale i wspólnie zbudowali dobre, przekonywające widowisko teatralne. Bardzo trafne, bo nienachalne, były japońskie odniesienia w geście i sposobie poruszania się. Tu najprawdziwsza, w idealnej zgodzie z muzyką i charakterem postaci była Agnieszka Cząstka jako Suzuki. Królowała na scenie zgodnie z wymową dzieła Ewa Biegas jako Cio-Cio-San, bardzo prawdziwa w przekazie jej dramatu, świetna aktorsko i - jak zawsze - nienaganna muzycznie. Patrząc na jej Butterfly odczuwałam jednak pewien niedosyt w I akcie. Cio-Cio-San Ewy Biegas od pierwszej chwili była dojrzała i dramatyczna. Brakło mi początkowej dziewczęcości piętnastoletniej gejszy zadurzonej pierwszym uczuciem i dojrzewającej z czasem do końcowej tragedii.

Dobrą postać beztroskiego Pinkertona stworzył Pavlo Tolstoy, świetnym, zmęczonym życiem Konsulem był Mariusz Godlewski. Również Paweł Wunder jako Goro, Bogdan Kurowski - Bonzo, Krzysztof Witkowski - Yamadori, dobrze wpisali się w całość spektaklu, który miał w sobie delikatność japońskiego rysunku. Ładnie brzmiała orkiestra, równie dobrze śpiewał chór (przygotowanie - Marek Kluza).

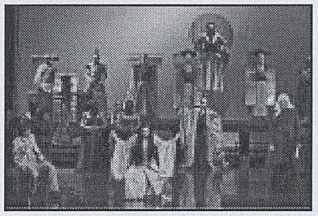
Krakowskiej "Madamie Butterfly" wróżę zasłużone powodzenie. Tym razem widziałam tylko jedną obsadę. Przygotowano trzy, podobno bardzo różne. Oglądnę więc i pozostałe, ale to dopiero w listopadzie.»

"Madama Butterfly - Pani Motyl"
Anna Woźniakowska
Dziennik Polski nr 227 online
28-09-2009

e-teatr.pl - wortal teatru polskiego © Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego

Tragedia pani Motyl

"Madama Butterfly" w reż. Waldemara Zawodzińskiego w Operze Krakowskiej. Pisze Adam Czopek w Naszym Dzienniku.



«Wielominutową owacją na stojąco zakończyła się w sobotni wieczór premiera tej bodaj najbardziej popularnej z oper Giacoma Pucciniego. Oklaskiwano nie tylko efektowne przedstawienie, ale również interesujące kreacje wokalno-aktorskie.

Klamrą spinającą przedstawienie jest pierwsza i ostatnia scena, rozgrywane w tej samej scenografii i w ten sam sposób. Trzy przesuwające się ściany odsłaniają zupełnie pustą scenę. To tutaj zaczyna się opowieść o dramacie młodej Japonki, która wychodzi za mąż za oficera marynarki amerykańskiej. Ta sama przestrzeń stanie się w trzecim akcie niemym świadkiem dramatu Butterfly, która na wieść o tym, że Pinkerton przybywa do niej z nową żoną i zamiarem zabrania jej syna, popełnia samobójstwo. Cała inscenizacja jest delikatnie stylizowana na japońskie klimaty, uzupełniają ją efektowne, barwne i lekkie kostiumy, również wywiedzione z japońskiej sztuki. Waldemar Zawodziński po mistrzowsku operuje sceniczną przestrzenią i światłami, nie brakuje też czytelnej symboliki, co czyni całą akcję dynamiczną i zrozumiałą. Z jednym tylko trudno mi się pogodzić - dlaczego z woli reżysera Suzuki (interesująca kreacja Agnieszki Cząstki) wygląda jak siedem nieszczęść naraz? Ciągle zgarbiona, skulona, o manierycznych ruchach, wypadła bardzo sztucznie. Jak się ją obserwowało, to miało się wrażenie, że właśnie ona jest zapowiedzią całej tragedii, jaka stanie się udziałem tytułowej bohaterki. Nie bardzo też przypadły mi do gustu szaleńcze piruety i tarzanie się po scenie Butterfly, co miało oznaczać wybuch jej burzliwych emocji na chwilę przed ostatecznym rozwiązaniem. Natomiast uznanie budzi konsekwentne i wyraziste prowadzenie głównych bohaterów, którzy symbolizują dwa odmienne światy i dwie różne kultury. Jednym z piękniejszych momentów jest ten, kiedy ślubny orszak Butterfly pojawia się w domu Pinkertona, a ona sama jest wyłuskiwana z czerwonego jedwabnego kokonu niczym delikatny motyl. Równie efektownie wypadły scena z lampionami towarzysząca wielkiej arii Butterfly "Un bel di vedremo" oraz scena z kwiatami, w której śpiewany jest duet "Scuoti quelle fronda".

W obsadzie na pierwszy plan wysunęła się para głównych bohaterów: Aleksandra Chacińska - Cio-Cio-San, i Arnold Rutkowski - Pinkerton. Oboje młodzi, obdarzeni pięknymi głosami, stworzyli kreacje, o których warto pamiętać. Ona pięknie przekazała wszystkie nastroje przypisane tej postaci, jest delikatna, pełna wiary, naiwna i kokietująca, a zarazem burzliwa i gwałtowna w chwili, kiedy wali się świat jej uczuć. Zaprezentowała śpiew o przejmującej ekspresji i pięknym prowadzeniu frazy, co jest czynnikiem w pełni uwiarygodniającym jej kreację. On dysponuje głosem o interesującej szlachetnej barwie i wyrównanym brzmieniu, pozwalającym na swobodne jego prowadzenie nie tylko pod względem emisji, ale też pod względem ekspresji i barwy. Równie wiele dobrego należy powiedzieć o Leszku Skrli, który wokalnie i aktorsko wykreował, z pełnym przekonaniem, obraz Sharplessa, amerykańskiego konsula, którego przerósł dramat Buttefly.

Przedstawieniem dyrygował Tomasz Tokarczuk. Przyznaję, wiele fragmentów pięknie brzmiało pod jego batutą, ale nie brakowało też takich, kiedy orkiestra brzmiała zbyt masywnie i bez właściwej finezji, szczególnie w cieniowaniu frazy, co zmuszało solistów do forsownego prowadzenia głosu.»

"Tragedia pani Motyl"
Adam Czopek
Nasz Dziennik nr 227 online
28-09-2009

e-teatr.pl - wortal teatru polskiego © Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego

5

Zachowawcze piekno Butterfly

"Madama Butterfly" w reż. Waldemara Zawodzińskiego w Operze Krakowskiej. Pisze Magda Huzarska w Polsce Gazecie Krakowskiej.

«To miała być niewinna, miłosna igraszka porucznika marynarki Stanów Zjednoczonych Pinkertona. Chwilowe umilenie pobytu w Kraju Kwitnącej Wiśni. Cio-Cio-San miała być zaledwie kaprysem, przystankiem w drodze do "prawdziwej", amerykańskiej narzeczonej.

Oficer nazwał swą maskotkę Madama Butterfly (Pani Motyl), wykorzystał i, sam niczym motyl, odfrunął. Pozostawił rozkochaną w sobie Japonkę ipotomka, po którego, już z amerykańską żoną, powróci po trzech latach.

Od ponad wieku wszystkie sceny operowe świata chętnie sięgają po tę historię. Przepiękna muzyka Giacomo Pucciniego, niezwykle melodyjna, z dyskretną domieszką orientu i cytatów amerykańskich, naszpikowany emocjami dramat i japoński entourage, to niemal pewna gwarancja sukcesu. W Operze Krakowskiej z tym samograjem zmierzył się Waldemar Zawodziński, nie tylko reżyserując, ale także oprawiając całość scenograficznie.

Zmierzył się, acz odniosłam wrażenie, że nie próbował w żaden sposób z nim powalczyć, odczytać go na nowo. Może stwierdził, iż krakowscy melomani nie przełkną odważnej interpretacji. Dlatego też dostaliśmy przedstawienie momentami piękne, acz potwornie zachowawcze, które zrobi przede wszystkim wrażenie na tych, którzy nie śledzą nowinek na współczesnej scenie operowej.

Zawodziński - scenograf stworzył na scenie świat posklejany z rozmaitych klisz, spełniających przeciętne wyobrażenia o tym, jak wygląda Japonia. Choć jest to raczej rodzaj wariacji, są tu i elementy tradycyjnej architektury, jest monstrualna ikebana, imitująca ogród, są ściany z żaluzjami i papierowe lampiony. Wszystkie konstrukcje jeżdżą wszerz, do dołu i do góry, pokazując fantastyczne możliwości wyposażenia nowej Opery.

W tym natłoku mobilnych elementów, są też i takie, które służąc jedynie jako ilustracja, brudzą obraz. Jak chociażby gigantyczna kotwica, mało subtelnie symbolizująca przybycie statku do portu w Nagasaki. Gdyby nie owa kotwica na horyzoncie, finał drugiego aktu ze ślicznym, kołysankowym chórem rybaków, mógłby być jeszcze bardziej poetycki i czystszy.

W tę japońską symbolikę w przestrzeni, wpisują się kostiumy autorstwa Marii Balcerek, będące raz to wariacją na temat, a innym razem wiernym odzwierciedleniem oryginałów. Bo świat stworzony przez dwójkę scenografów nie ma ambicji wiernego kopiowania Japonii, ale jest rodzajem kreacji, z feerią barw i balansowaniem na granicy kiczu. Rozumiem ten zamysł, choć nie zawsze się z nim zgadzam.

Ale największą siłą krakowskiej "Madamy Butterfly" są aktorzy - śpiewacy i sama muzyka.

Ewa Biegas w roli tytułowej po raz kolejny pokazała, że jest nie tylko znakomitą sopranistką, ale także dobrą aktorką. Artystka stworzyła portret kobiety, która na naszych oczach dojrzewa i przeżywa dramat odrzucenia. Zagląda w głąb duszy swojej bohaterki i wydobywa całe bogactwo emocji: od miłosnego zauroczenia, przez nadzieję, po rozpacz, popychającą ją do samobójstwa. Świetnie partneruje jej Agnieszka Cząstka w roli służącej Suzuki. Współodczuwa dramat swojej pani, tak jakby to był jej własny.

Słynny "duet kwiatowy" obydwu kobiet to jeden z piękniejszych momentów muzycznych tego spektaklu.

Konsul USA Sharpless Mariusza Godlewskiego to niemal wierny cytat z Konsula z "Pod wulkanem" Malcolma Lowry'ego. Wiecznie pijany, ocierający pot z czoła, widzi więcej i rozumie więcej niż Pinkerton. Pavlo Tolstoy w tej roli gra amerykańskiego mydłka, do którego dopiero nad zwłokami dawnej kochanki dotrze okrucieństwo zachcianki. Cyniczny stręczyciel Goro Pawła Wundera, to ktoś, z kim raczej nie chcielibyśmy się zaprzyjaźnić. W stworzeniu tych portretów pomaga aktorom orkiestra pod batutą Tomasza Tokarczyka, subtelnie wydobywająca liryzm i dramat nut Pucciniego.

Choć inscenizacja Waldemara Zawodzińskiego nie stanowi żadnego odkrycia interpretacyjnego w tej ponadstuletniej historii, choć chwilami wydaje się zbyt grzeczna i przesłodzona, to warto spędzić te ponad 3 godziny w Operze. Dla aktorów, muzyki i kilku obrazów, które mogą pozostać w pamięci.»

"Udana premiera Madame Butterfly w Krakowie"
Magda Huzarska
Polska Gazeta Krakowska nr 228 online
29-09-2009

e-teatr.pl - wortal teatru polskiego © Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego

6

Choroba miłości

Gazeta.pl

Joanna Targoń 2009-09-29, ostatnia aktualizacja 2009-09-29 12:48:49.0

Ten melodramat nad melodramaty został wystawiony z polotem i uczuciem. Świetnie zaśpiewany i zagrany, w ciekawej reżyserii i scenografii, dla których krakowska scena okazała się jednak stanowczo za mała

Waldemar Zawodziński nie starał się odtworzyć na scenie Japonii - i słusznie. Przecież opera Pucciniego to fantazja na tematy japońskie, i w temacie, i w muzyce. Zawodziński (reżyser i scenograf) razem z autorką kostiumów Marią Balcerek stworzyli więc własną fantazję japońską, wykazując się dużą wrażliwością na muzyczną dramaturgię. Zmiany dekoracji przy otwartej kurtynie nie tylko współgrają z muzyką, ale i ją dopowiadają. Na początku opery Goro (bardzo dobry Paweł Wunder) pokazuje Pinkertonowi dom przeznaczony dla Butterfly - przesuwa w kulisę długą ścianę, potem drugą i trzecią. Arii Butterfly "Un bel di vedremo" towarzyszą opadające z góry w rytm muzyki białe lampiony, unoszące się potem z powrotem w górę. Noc miłosną Butterfly i Pinkertona zapowiadają ustawione rzędem tancerki w ciemnych szatach - gdy rozłożą ręce, stworzą żywy parawan z erotycznych japońskich drzeworytów, wymalowanych na odzieniu. Nie ma w tych scenach realizmu, jest skrót, dowcip, poezja.

Nie wszystkie reżysersko-scenograficzne pomysły są udane - gdy Butterfly ubiera kwiatami dom na przybycie ukochanego, wjeżdżają wielkie podesty pełne gęsto ustawionych lilii, jak na plantacji. Ogromna głowa Buddy robi wrażenie, gdy widzimy tylko jej fragment, gorzej, gdy przejeżdża w całości przez scenę. Choć może i ta plantacja, i głowa Buddy (i sceny zbiorowe) wyglądałyby lepiej, gdyby nie szczupłe rozmiary sceny, na której naprawdę trudno rozwinąć skrzydła. Scenografia operowa nie może dusić się w niewielkiej przestrzeni, a artyści w efektownych kostiumach deptać sobie po piętach. Zwłaszcza że muzyka emocjami, jak to u Pucciniego, wypełnia bez reszty scenę i widownię. Przydałoby się więc trochę oddechu.

A emocji muzycznych było wiele. Świetną Butterfly była Ewa Biegas, o mocnym, giętkim i dramatycznym głosie. To nie żaden zdeptany przez okrutny los słodki kwiatuszek, ale kobieta opętana przez miłość, drapieżna, szalona, dążąca do zatracenia. Bardziej może kochająca własne uczucie, własne fantazje na ten temat, własne nieszczęście wreszcie niż Pinkertona. W tej roli znakomicie śpiewający Pavlo Tolstoy, o dobrze pasującym do takiej koncepcji głównej bohaterki wyglądzie miłego jasnowłosego chłopca, nieco spłoszonego determinacją ukochanej. Orkiestra pod dyrekcją Tomasza Tokarczyka i chór też sprawiły się dobrze. Wszystko po to, żeby nas porwać, wzruszyć i poruszyć tą szlachetnie melodramatyczną baśnią o chorobie miłości.

Opera Krakowska. Giacomo Puccini "Madama Butterfly". Kierownictwo muzyczne: Tomasz Tokarczyk, reżyseria i scenografia: Waldemar Zawodziński, kostiumy: Maria Balcerek, choreografia: Janina Niesobska, światła: Mirosław Poznański, przygotowanie chóru: Marek Kluza. Premiera 25 września 2009

Joanna Targoń

Tekst pochodzi z portalu Gazeta.pl - www.gazeta.pl © Agora SA

„GAZETA WYBORCZA"
29.09.2009r.

Zjawiskowa Butterfly

Autor	Paweł Dybicz
Źródło	Przegląd nr 40/11.10.09
Data	9 października 2009

"Madama Butterfly" w reż. Waldemara Zawodzińskiego w Operze Krakowskiej. Pisze Paweł Dybicz w Przeglądzie.

Waldemar Zawodziński zrobił "Madamę Butterfly" w Operze Krakowskiej "po bożemu". Ale trzeba życzyć każdemu, żeby to "po bożemu" było tak współczesne i nowatorskie. I nie chodzi o to, że reżyser w pełni wykorzystał techniczne możliwości sceny. Nowoczesność arcydzieła Pucciniego nie polega na tym, że Zawodziński wprowadził do niego sumo czy inne walki [wschodnie, ale na tym, że niezwykle umiejętnie stworzył widowisko, w którym scenografia (jego autorstwa), kostiumy (Marii Balcerek) i choreografia (Janiny Niesobskiej) współgrają, podnosząc jeszcze bardziej muzyczne walory opery.

Feeria barw, przepiękne stroje oraz ruch sceniczny przykuwają oko i na długo zapadają w pamięć. Do tego dochodzi oczywiście wykonanie solistów, a w wielu wypadkach ich gra aktorska. W drugiej premierze najbardziej pod tym względem wyróżniał się w roli Sharplessa Leszek Skrla, który nie tylko śpiewem dawał do zrozumienia, jak niewdzięczną przychodzi mu, jako konsulowi USA, odgrywać rolę, jak jest ona zawstydzająca. Dobrze wypadł też Arnold Rutkowski, dowodząc, że rola lekkoducha Pinkertona może być jedną z jego sztandarowych.

Odtwórczyni głównej roli, Aleksandra Chacińska, nie ustępowała scenicznym przekazem Skrle, mając do tego przecież o wiele bardziej wyczerpujące arie. Poradziła sobie z nimi bez większych problemów, za co otrzymała zasłużone burzliwe oklaski. Na nie tylko jej sukces miał wpływ Tomasz Tokarczuk, który umiejętnie poprowadził orkiestrę i chór.

Tak więc "Madama Butterfly" Zawodzińskiego w przyszłości może być lepiej lub gorzej zaśpiewana, ale jego inscenizacja na pewno przejdzie do historii nie tylko krakowskiego teatru i może być śmiało pokazywana na europejskich festiwalach operowych.

Więcej informacji

Spektakle

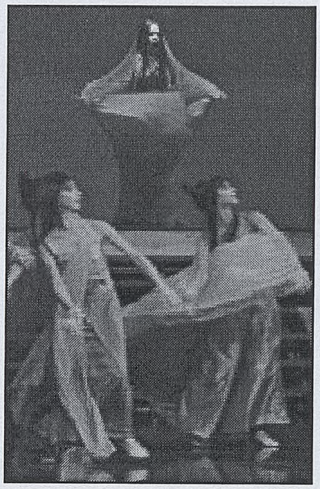
1

Madama Butterfly
reż. Waldemar Zawodziński

ENCYKLOPEDIA TEATRU POLSKIEGO
© 2016 Materiały zawarte na stronie są chronione prawem autorskim

Motyl we krwi

"Madama Butterfly" w reż. Waldemara Zawodzińskiego w Operze Krakowskiej. Pisze Monika Partyk w Ruchu Muzycznym.



«Rozwój larwalny krakowskich motyli zdziwiłby niejednego entomologa. Gąsienica pojawiła się przed sześcioma laty w Kopalni Soli w Wieliczce jako uteatralniony koncert, w którym akcję sceniczną zastępowała baletowa. Ten niedoskonały twór miał zatrzepotać skrzydełkami w roku 2004, ostatecznie udało mu się to dopiero teraz, 25 września, a z widowiskiem w Wieliczce - oprócz nazwisk autorek choreografii i kostiumów - nic go już nie łączy. Niemniej w przypadku obecnej krakowskiej "Madamy Butterfly" Pucciniego tak entomolodzy, jak krytycy srodzy przyznają, że doczekaliśmy wreszcie imaga, czyli postaci w pełni dojrzałej.

Spektakl, którego premiera towarzyszyła VI Kongresowi Kultury Polskiej, wyreżyserował i oprawił scenograficznie Waldemar Zawodziński, od lat współpracujący z Operą Krakowską (ostatnio przy "Czarodziejskim flecie" Mozarta). Podjął się niełatwego zadania zmierzenia się ze słynną i wciąż przez wielu pamiętaną inscenizacją Kazimierza Korda przed czterdziestu laty, z Butterfly Jadwigi Romańskiej i kostiumami Krystyny Zachwatowicz. Podkreślał jednak, że nie zależy mu na spektaklu szokującym nowoczesnymi pomysłami, ale na spektaklu "dotkliwym". Co więcej, "dotkliwość" historii Cio-Cio-San ma polegać mniej na zderzeniu dwóch odmiennych kultur - jak interpretuje się ją najczęściej - bardziej zaś na zderzeniu dwojga ludzi całkowicie innego kruszcu, odmiennej duchowości. Nadaje to tragedii dodatkowe znaczenie - łatwiej przyjąć różnicę obyczajów, jako zewnętrzny bicz losu, niż różnicę serc. A kobieta, która dla miłości poświęci wszystko: swoją tożsamość, a w końcu i samą siebie, oraz mężczyzna, który dla miłości nie poświęci nic, bo miłości nie czuje, zdarzają się wszędzie. U Zawodzińskiego protagoniści nie są więc typowymi przedstawicielami swych nacji. Butterfly operuje niezwykle wyrazistymi środkami ekspresji, bardziej już "zachodnimi" niż japońskimi: bywa w ruchach i gestach gwałtowna, nawet szaleńcza - przed samobójstwem

desperacko tarza się po ziemi. Pozostaje równocześnie w typowy dla japońskich kobiet sposób uniżona, choć to pokora szczególna - jest w niej determinacja miłości. Jej kwintesencję stanowi moment przed sceną miłosną z I aktu, w którym Butterfly klęcząc przed Pinkertonem i gładząc jego buty, mówi: "Niech pan mnie bardzo kocha". To nie kokieteria - to ultimatum. Z kolei Pinkerton jest chyba bardziej niefrasobliwy niż cyniczny. Nie spodziewa się, że zabawa tak się skończy. I chyba jej ostatecznie żałuje.

Ułudzie miłości przeciwstawia reżyser autentyczną, niebywale silną więź Butterfly i jej służącej Suzuki (porywająca i poruszająca Agnieszka Cząstka). Świadoma tragedii - której jej pani najpierw nie widzi, a potem dostrzec nie chce - jest jakby żywym nerwem Butterfly, zogniskowaniem całego jej bólu. Przyznam, że gdy Suzuki modli się leżąc krzyżem na ziemi lub gdy współcierpi ze swą panią, częściej patrzyłam na nią właśnie. Nie wiem czy reżyser chciał "dotknąć" mnie akurat w ten sposób, ale istotnie mnie "dotknął". Dramat Butterfly przemawiał zaś do mnie najbardziej nie w momentach wybuchów bohaterki, lecz kiedy próbowała się go zaprzeć - z determinacją kobiety, która na miłość postawiła wszystko. I z determinacją matki. Esencją spektaklu jest finał II aktu: ogród kwiatów i ogromna kotwica przybyłego właśnie statku Abraham Lincoln (jak "miecz Damoklesa", chyba jednak zbyt nachalnie dosłowna), ku której zmierzają Cio-Cio-San - z perwersyjnym niemal oczarowaniem, Suzuki - z tragicznym przeczuciem, i jasnowłosy synek Butterfly o imieniu Smutek.

Kostiumy Marii Balcerek nadały krakowskiemu przedstawieniu urody, scenografia reżysera - sens. Spójna inscenizacja, w której wizja plastyczna wspiera dramaturgiczną, cieszy szczególnie. Owa "kompatybilność" to w przypadku Zawodzińskiego nie novum, reżyser często tworzy scenografię do własnych - i nie tylko - spektakli. W wyjątkowo efektownych kostiumach, w których zwraca uwagę rzeźba stroju, dostrzec można wiele inspiracji: obok tradycyjnego japońskiego ubioru i grafiki, samurajskie filmy Kurosawy i Kobayashiego oraz teatr kabuki, któremu zawdzięczamy przepych, także wyszukaną charakteryzację i fryzury.

Obrazy Kurosawy i teatr kabuki zainspirowały też ogólną wymowę spektaklu: pełną dynamiki, dramatyzmu i wewnętrznych napięć. Ze szczegół-

nym rozmachem, także choreograficznym (autorstwa Janiny Niesobskiej), potraktowany został akt I - raz migotliwy, to znów niczym żywy obraz. Słynne wejście Butterfly, oprawione tańcem baletu i chóru w pięknych perłowych kimonach, jest w równym stopniu widowiskowe, co symboliczne - bohaterka wykluwa się z czerwonego jedwabnego kokonu, zostaje motylem uskrzydlonym przez miłość. Nie mniej efektownie ukazane zostały: akt zaślubin - z quasi-obrzędową pantomimą tancerzy w rytualnych maskach na głowie; scena przekleństwa Bonzy - jej grozę podkreślają cztery złowieszcze postaci; scena miłosna, której intymność osłonią parawany, czyli rozłożone kimona tancerek z malunkami nawiązującymi do japońskiej sztuki erotycznej shunga; wreszcie - w akcie II - oświadczyny księcia Yamadori otoczonego kapiącą od złota, iście cesarską świtą.

Ascetyczna - dla przeciwwagi -scenografia Zawodzińskiego, budowana jest z pełną świadomością i operuje często poetyckimi metaforami. Dla przykładu: arii Butterfly "Un bel di vedremo" towarzyszą papierowe lampiony, które rozbłysnąwszy natychmiast unoszą się w górę - nieuchwytne jak jej marzenia. Sugestywnym pomysłem sąteż młynki modlitewne z aktu II i finału. Najistotniejsze jednak: w spektaklu panuje wszechwładza czerwieni: od cieni na powiekach kobiet, poprzez kokon Butterfly, kimona, rytualne stroje, samą scenę, po czerwone oczy Buddy wpatrzone w finale w martwą Butterfly. Czerwień ma setki odcieni, ale symbolizuje, jak mniemam, dwie rzeczy: krew i - zgodnie z tradycją teatru kabuki - sprawiedliwość.

Muzyczne powodzenie Madamy Butterfly zależy niemal wyłącznie od protagonistki. Za sprawą Ewy Biegas, która mierzyła się już z tą rolą w Operze Bałtyckiej, fiaska nie było. Śpiewaczka udźwignęła wokalnie "galerniczą" partię, dowodząc swych szerokich umiejętności zarówno technicznych, jak wyrazowych. Jej pełny sopran brzmiał szczególnie pięknie w scenach dramatycznych, choć i w momentach lirycznych nie brakowało mu szlachetności. Aktorsko również oddała przekonująco tragedię bohaterki: na sposób "zachodni", ale z elementami dalekowschodniej wrażliwości, inspirując się być może pamiętną kobiecą rolą w filmie Rashómon Kurosawy. Bohaterki, która - i w tym niestety upatruję mankament - od początku jest dojrzałą kobietą, pod każdym względem. Zabrakło w jej interpretacji ewolucji od nieśmiałej dziewczyny do kochanki i matki.

Może pozostałe (z potrójnej obsady) odtwórczynie roli - Aleksandra Chacińska i Maria Mitrosz - odmalują ją pełniejszą paletą barw. Poza wychwalaną już Agnieszką Cząstką, pozostali wykonawcy też sprostali zadaniom - tak wokalnie, jak aktorsko: Pavlo Tolstoy, który w roli Pinkertona kolejny raz potwierdził swój nerw dramatyczny, Mariusz Godlewski jako Sharpless i Paweł Wunder jako Góro. Prowadzący muzycznie spektakl Tomasz Tokarczyk utrzymuje wyrównany, wysoki poziom - poprowadził orkiestrę z wyczuciem i, co nie mniej cenne, z uczuciem, a rozbudowana choreografia scen z udziałem chóru nie wpłynęła na szczęście niekorzystnie na jego brzmienie.

Spektakl Zawodzińskiego - ze swą nachalną i piękną czerwienią - przypomniał mi słynne pytanie Lady Makbet. Parafrazując: kto by się był spodziewał tyle krwi w tym motylu?»

"Motyl we krwi"
Monika Partyk
Ruch Muzyczny nr 24/29.11.2009
03-12-2009

e-teatr.pl - wortal teatru polskiego © Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego

Pinkerton-san

Autor	Lesław Czapliński
Źródło	Opcje nr 4/12-2009
Data	16 lutego 2010

"Madama Butterfly" w reż. Waldemara Zawodzińskiego w Operze Krakowskiej. Pisze Lesław Czapliński w Opcjach.

W świecie fikcji postacie niezbyt uczciwe bywają zazwyczaj bardziej udane i interesujące niż ucieleśnienia cnót wszelakich. I tak też jest w najnowszej krakowskiej inscenizacji Madame Butterfly (według Pucciniego), w której obydwaj odtwórcy roli Pinkertona sprostali wymaganiom i wysunęli się na pierwszy plan. Z tym małym zastrzeżeniem, że liryczny głos Pawło Tołstoja lepiej łączył się z głosem Marii Mitrosz, a tenorowi spinto Arnolda Rutkowskiego bardziej odpowiadałby dramatyczny sopran Ewy Biegas, bezsprzecznie najlepszej wykonawczyni partii Cio-cio-san, wcześniej znakomitej Halki.

Pinkerton przed samym ślubem z Cio-cio-san bez najmniejszych skrupułów wznosi toast za przyszłe małżeństwo z Amerykanką. Powszechnie praktykowano wówczas sezonowe śluby oficerów marynarek (zarówno wojennych, jak i handlowych) z miejscowymi kobietami (vide Pierre Lotti i jego "Pani Chryzantema", która na jedenaście lat przed dramatem Belasco i dziełem Pucciniego posłużyła za pierwowzór opery Andre Messagera). I tylko gejsza Cio-cio-san uwierzyła, że nie jest to na niby. W rozmowie z konsulem Sharplessem, gdy tenże zwraca się do niej "pani Butterfly", poprawia go na "pani Pinkerton". A może z pełnym wyrachowaniem zaplanowała, że dzięki temu mariażowi stanie się prawdziwą, pełnoprawną Amerykanką?... I aby osiągnąć, co zamierzyła - odzyskać Pinkertona - wykorzysta zrodzonego z tego związku syna. To działanie obróci się przeciwko Cio-cio-san, ponieważ mężczyzna rzeczywiście przybędzie, ale jedynie po to, by odebrać jej dziecko. Przyczyni się do tego konsul Sharpless, nie taki znów niewinny i szlachetny, na jakiego na ogół pozował w dotychczasowej tradycji inscenizacyjnej. Może właśnie z tego powodu w krakowskim przedstawieniu konsul, będący uosobieniem cnót imperialnych, przypomina pijaka z powieści Lowry'ego Pod wulkanem.

Idealną wręcz kreację w partii Suzuki stworzyła Bożena Zawiślak-Dolna, zarówno w kantylenowym duecie "kwiatowym", jak i partiach recytatywowych, nie po raz pierwszy wspierając swój występ niepospolitymi umiejętnościami aktorskimi. A reżyser bardzo drastycznie - i na poły sadomasochistycznie - ustawił jej relacje z Cio-cio-san; odzwierciedlają one feudalną hierarchiczność ról społecznych w tradycyjnym społeczeństwie japońskim, stojącym dopiero u progu przemian.

Także Paweł Wunder sprawdził się w charakterystycznej roli stręczyciela Góro, jakby skrojonej na miarę jego możliwości wokalnych. Stworzył przy tym żywą postać sceniczną.

Inscenizator (reżyser i scenograf w jednej osobie) mniej lub bardziej dosłownie zilustrował sugestie zawarte w libretcie. Na przykład Pinkerton opowiada Sharplessowi, zanim pojawi się Cio-cio-san, że jest niczym obrazek z parawanu. I później, gdy zostają już sami, gejsza przebiera się za żywym parawanem, utworzonym z rozłożonych rękawów kimon służących, układającym się w sceny z japońskich drzeworytów. Z kolei podczas "kwietnego" duetu wjeżdżają na scenę platformy z rzędami ich papierowych imitacji. Wcześniej zaś, gdy kobiety dostrzegają wpływający do portu statek, ze sznurowni opuszcza się gigantyczna kotwica kształtem przypominająca okręt. W finale I aktu, w miłosnym uniesieniu poślubnej nocy, para bohaterów wznosi się za pomocą specjalnej dźwigni ponad poziom sceny.

Kiedy tytułowa Butterfly pojawia się po raz pierwszy na scenie, "wykluwa się" z czerwonego welonu w formie kokonu niczym motyl z poczwarki (tym razem inspiracji dostarczył prawdopodobnie Ken Russell i ekspozycja do jego filmowego Mahlera). Czerwień stanowi kolorystyczną dominantę dekoracji i kostiumów, nawiązując przy okazji do koloru głównego korpusu budynku krakowskiej Opery oraz jej wewnętrznego wystroju (tej samej barwy była koszula, w której Waldemar Zawodziński pojawił się na konferencji prasowej!).

Raziła mnie nieco wstawka baletowa towarzysząca na drugim planie scenie ślubu, z pierzastymi - by nie rzec: papuzimi - stworami. Bardziej przypominały one fantastykę rodem z Czarodziejskiego fletu Schikanadera-Mozarta czy Caprichos Goyi niż na przykład Kwaidan, czyli opowieści niesamowite Masaki Kobayashiego według nowel Lafcadio Hearna. Na te ostatnie stylizowana była scena z kolejnym pretendentem do ręki

opuszczonej Cio-cio-san - księciem Yama-dori - który ze swą świtą pojawiał się po podniesieniu zastawki; w białych włosach wyglądał niczym upiór. Wydaje mi się, że w cechy japońskich zjaw, wzbogaconych na dodatek ekspresjonistyczną poetyką, wyposażyć należało raczej Pinkertona, jego żonę Kate i Sharplessa, którzy niczym wampiry przybywają w trzecim akcie po dziecko i z jakimś mściwym okrucieństwem znęcają się nad bohaterką, wymuszając na niej zrzeczenie się wszelkich praw: żony i matki.

Orkiestra, prowadzona wprawną ręką swego kierownika muzycznego Tomasza Tokarczyka, dodawała zdarzeniom scenicznym dramatycznego pulsu, a także odmalowywała lokalny koloryt wraz z jego dźwiękową, pentatoniczno-perkusyjną egzotyką. Z kolei soczyste brzmienie instrumentów dętych można było podziwiać w poprzedzającym III akt instrumentalnym intermezzu. Po raz pierwszy od dłuższego czasu zaufano decyzji kompozytora związanej z rozłożeniem akcentów i dramaturgicznych kulminacji - zgodnie z jego wolą podzielono całość na trzy akty oddzielone dwiema przerwami.

Czyżby Pani Motyl przeobraziła się zatem w Panią Jaskółkę (Puccini napisał operetkę pod takim tytułem), zwiastującą lepsze czasy dla Opery Krakowskiej?

Więcej informacji

Spektakle

1

Madama Butterfly
reż. Waldemar Zawodziński

ENCYKLOPEDIA TEATRU POLSKIEGO
© 2016 Materiały zawarte na stronie są chronione prawem autorskim

TRUBADUR
PISMO OGÓLNOPOLSKIEGO KLUBU MIŁOŚNIKÓW OPERY
ISSN 1642-3399 lipiec-grudzień 2009
Rok 14, Numer 2 (51)

PANI MOTYL NA KRAKOWSKIEJ SCENIE

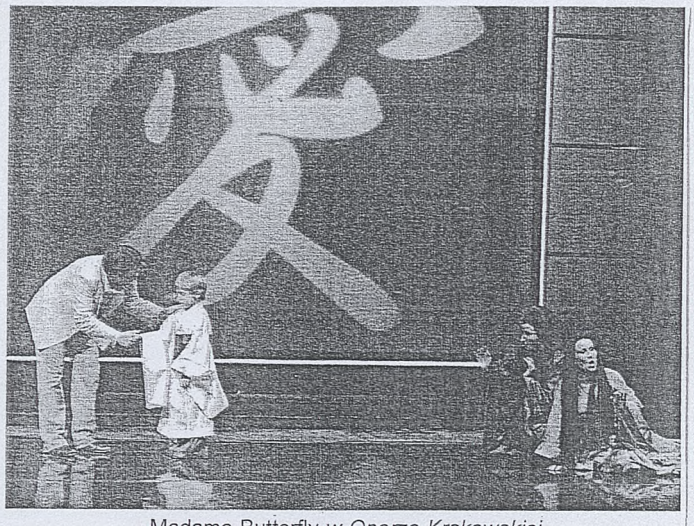
Historia krakowskich inscenizacji opery Pucciniego *Madama Butterfly* jest krótka i raczej nijaka. Ostania (25.09.2009) była czwartą, a właściwie na dobrą sprawę, drugą. Natomiast, być może, niespodziewanym walorem tych inscenizacji był udział w nich (w charakterze stałym i gościnnym) całej plejady polskich artystów śpiewaków drugiej połowy XX wieku (głównie w partii tytułowej i tenorowej Pinkertona). Zanim więc skoncentrujemy się na ostatniej premierze, przypomnijmy krótko poprzednie.

St. Lachowicz w swym opracowaniu *20 lat Opery i Operetki w Krakowie, 1954 – 1974* zauważa: *dużą popularność zyskał sobie spektakl „Madamy Butterfly" będący w ogólnym zarysie powtórzeniem przedstawienia Rady Miejscowej przy PFK z lat 1953 i 1954. W stale zmieniających się i uzupełnianych obsadach solistycznych (...) spektakl - mimo niezaprzeczalnych braków – pozostał w repertuarze Opery Krakowskiej przez 15 lat.* Dodajmy: realizatorami inscenizacji byli Zbigniew Chwedczuk (kierownictwo muzyczne) i Antoni Wolak (reżyseria). I to właśnie w tej inscenizacji wystąpiła owa wspomniana plejada polskich śpiewaków, z Teresą Żylis-Garą i Bogdanem Paprockim na czele.

Drugą premierę, w 1969 roku, opracował i przygotował Kazimierz Kord jako reżyser z Romanem Mackiewiczem jako kierownikiem muzycznym w oryginalnej konwencji z nowymi dekoracjami i kostiumami. Ta *Butterfly* upamiętniła się głównie wspaniałą kreacją Jadwigi Romańskiej. Był to autentyczny sukces artystki i krakowskiej sceny.

Kolejna inscenizacja została przygotowana przez Janinę Niesobską i Wojciecha Michniewskiego (kier. muzyczne). Zaprezentowano ją w Kopalni Soli w Wieliczce, raptem 4 razy. Soliści i orkiestra potraktowani zostali „estradowo", a na scenie odegrano pantomimę ilustrującą akcję. Trudno więc do końca uznać to za operowy przekaz sceniczny.

Tak więc z autentyczną ciekawością oczekiwano na kolejną inscenizację popularnej i lubianej opery. Tym razem na własnej i technicznie sprawnej scenie Opery Krakowskiej. I od razu pierwsza uwaga,



Madame Butterfly *w Operze Krakowskiej*
(fot. J. Wrzesiński/Studio MAI)

pierwsze skojarzenie: realizatorzy (świadomie, mam nadzieję) nawiązali do wspaniałych tradycji wokalnych towarzyszących zwykle krakowskim inscenizacjom *Butterfly*. Wszystkie partie główne, i nie tylko, obsadzone zostały artystami o wielkich umiejętnościach wokalnych i aktorskich. Dzięki temu spektakl przekonywał prawdą wyrazu i wzruszał. W oglądanym spektaklu rolę tytułową odtwarzała młoda artystka, Aleksandra Chacińska. Śpiewała bardzo dobrze, pewnie i swobodnie. Dozowała emocje, których tej postaci przecież nie brakuje. Była Butterfly zdeterminowaną uczuciem miłości, zdecydowaną i doskonale wiedzącą, co jest jej celem. Pozostawała jednak postacią tragiczną. Partnerował jej Arnold Rutkowski. Piękny, liryczny tenor, może chwilami zbyt liryczny jak na tę rolę. Aktorsko – beztroski, egoistyczny, nonszalancki, „typowy produkt obyczajowości swych czasów". Leszek Skrla doskonale, wokalnie i aktorsko, zinterpretował partię Konsula, zmęczonego klimatem i życiem, targanego współczuciem choć lojalnego wobec rodaka. Mniejsze role Suzuki i Gora znakomicie odtworzyli także od strony czysto wokalnej, Agnieszka Cząstka i Paweł Wunder. Trudno coś zarzucić chórowi i orkiestrze prowadzonymi przez Tomasza Tokarczyka. Istotnych zastrzeżeń nie budzi też scenografia, kostiumy, reżyseria. Japońskie odniesienia w każdej z tych dziedzin są delikatne, dyskretne ale wyraźne, choć przecież cały czas symboliczne. Operowanie światłami i wykorzystanie technicznych możliwości sceny – bardzo dobre.

Wydaje się, iż ta pozycja repertuarowa, w tym kształcie, na długo zagości na krakowskiej scenie.

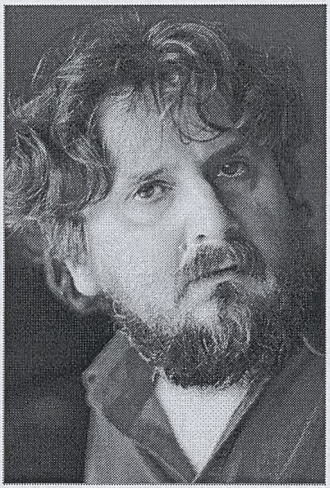
Jacek Chodorowski

Waldemar Zawodziński: w operze liczy się miłość

GAZETA Krakowska **Joanna Weryńska**

2009-09-22 10:17:31, aktualizacja: 2009-09-22 10:17:31

Z Waldemarem Zawodzińskim, reżyserem opery "Madama Butterfly" Pucciniego, której premiera otworzy w piątek nowy sezon Opery Krakowskiej, rozmawia Joanna Weryńska



(© Michał Okła)

Chyba niełatwo jest realizować jedną z najsłynniejszych oper świata?
To prawda, ale uczono mnie zawsze, że jeśli przychodzi ci się mierzyć z legendą, musisz najpierw dokładnie się jej przyjrzeć, po czym spróbować o niej zapomnieć i zinterpretować ją po swojemu. Tak właśnie zrobiłem.

I jak Pan ją zinterpretował?
Nie skupiłem się, jak zazwyczaj robią to twórcy, na zderzeniu dwóch odmiennych światów, z których wywodzą się główni bohaterowie dzieła Giacomo Pucciniego. Uważam, że to wcale nie jest tak, że on jest typowym jankesem, a ona typową Japonką. Chodzi tu raczej o zderzenie ludzi, którzy wyznają zupełnie inne wartości. Dla niej miłość jest wszystkim. Daje jej zupełnie nową tożsamość. Dlatego w imię miłości wyrzeka się wszystkiego.

A on?
Wcale nie jest postacią tak na wskroś cyniczną, jakby się mogło wydawać.
Rozumiem więc, że skupił się Pan przede wszystkim na wątku miłosnym?
Myślę, że udało mi się skonstruować dogłębny i kameralny dramat, w którym miłość jest najważniejszą wartością. Miłość staje się dla Cio-Cio-San czymś najistotniejszym. Dla niej wyrzeka się na koniec nawet siebie.

Czym różni się Pana ujęcie tego wielkiego tematu od jego dotychczasowych realizacji?
Trudno przy ogromnym bogactwie przedstawień tego dzieła nie przyglądać się innym jego wystawieniom. Jednak nie koncentruję się na tym, by stworzyć widowisko zupełnie inne niż moi poprzednicy. Skupiłem się raczej na tym, by ten spektakl przemówił do widzów jak najdotkliwiej. Wszystkie trzy odtwórczynie roli tytułowej są dojrzałe, ale jeszcze młode. A problem wielu dotychczasowych przedstawień polega na tym, że niełatwej partii Cio-Cio-San mogły sprostać tylko bardzo wyrobione śpiewaczki. Choć często nie pasowały do tej roli wiekowo. A główni bohaterowie są przecież młodymi ludźmi. To ważne w kreowaniu wiarygodności postaci.

Jest Pan nie tylko reżyserem, ale i autorem scenografii przedstawienia. Ponoć wykorzystane mają w nim zostać po raz pierwszy nowoczesne zapadnie sceniczne...
Dla montażu tego spektaklu są one niezwykle istotne. Te urządzenia pomagają nam jeszcze mocniej pokazać magię świata scenicznego, choć scenografia sama w sobie będzie raczej ascetyczna.

Dotknięcie iluminacji miłości

– reżyser Waldemar Zawodziński mówi o premierze opery „Madama Butterfly"

– Jest Pan zdenerwowany?

– Nie. Zdenerwowanie przecież nic nie daje.

– Pytam, bo choć ma Pan na swoim koncie wiele dramatycznych i operowych realizacji po raz pierwszy sięga Pan po operę „Madama Butterfly", jedno z najbardziej znanych dzieł w historii teatru.

– Podczas prób z biegiem lat jestem spokojniejszy, skoncentrowany na pracy, nie ulegam panice. Natomiast niezmiennie boleśnie przeżywam premierę. Od lat nie oglądałem żadnej z nich, tak bardzo się denerwuję. Dzień premiery jest dla mnie sądnym czasem.

– Gdzie Pan wtedy jest? W kulisach? Z aktorami?

– Kulisy oddaję inspicjentom, technice i przede wszystkim śpiewakom. To jest już ich świat. Jak potępieniec tłukę się po zakamarkach teatralnych, zaułkach, galeryjkach nad sceną. Zmieniam się w upiora w operze.

– Sięgnął Pan po operę, która od prapremiery w 1904 roku niemal nie schodzi z afiszy teatrów całego świata. Ten utwór reżyserowali najwięksi i śpiewali w nim najwięksi. Czy nie boi się Pan, że już wszystko zostało powiedziane na temat nieszczęśliwej miłości japońskiej gejszy do amerykańskiego żołnierza?

– Taki wybrałem sobie zawód, że ciągle efekty mojej pracy są konfrontowane. Ważne, aby się przyjrzeć innym realizacjom, zastanowić, po co reżyser stworzył taki a nie inny świat na scenie. I skoncentrować się na własnej opowieści.



ZAWODZINSKI – REZYSER ROZMARZONY

FOT. PAWEŁ BIEGUN

– Zatem jaka będzie Pańska „Madama Butterfly"?

– Jaka będzie, tak naprawdę zobaczymy na premierze. Bardzo wiele będzie zależało od osobowości śpiewaczki odtwarzającej tytułową rolę. W zależności, która z pań będzie danego wieczoru na scenie, opera będzie się odmieniała.

– Trzem odtwórczyniom – Ewie Biegas, Aleksandrze Chacińskiej i Marii Mitrosz – musiał Pan nadać jednak wspólne cechy.

– Najważniejsze dla mnie to pokazanie bohaterki, która zachwyca tym, co niezmiennie od wieków fascynuje wszystkich, czyli wielką miłością. Ona taką miłość w sobie wzbudziła, miłość, która zachwyca, zdumiewa. Każdy chciałby choćby w znikomej części dotknąć takiej iluminacji miłości, jaka jest jej udziałem. Każdy chciałby być kochany miłością tak wielką lub w sobie doświadczyć tak wielkiej miłości, jaką ona w sobie nosi. Madama Butterfly dla tej miłości wyrzeka się wszystkiego: rodziny, kultury, wiary. W pewnym momencie to miłość określa jej tożsamość.

– Ale też ta miłość skazuje ją na samotność, marzenia, czekanie, a w końcu doprowadza do śmierci.

– Czekanie wyraża wiarę, czekanie jest siłą, daje moc, póki oczekujemy, mamy nadzieję. Są takie postaci...

– ...jak chociażby Penelopa...

– ...że człowiek staje się czekaniem. Później już jej nie chodzi o obiekt miłości. Śmiercią ocala miłość. Nie pozwala jej sobie odebrać. Oczywiście można mówić o śmierci w kategorii honoru, co w dzisiejszych dość cynicznych czasach będzie dla wielu odległe. Ale ta filigranowa postać urasta do miary życiowego giganta. To porażające jak można walczyć o miłość.

– Nie obawia się Pan, że w obecnych czasach pełnych egoizmu i egocentryzmu, gdzie nikt o nikogo nie walczy, postawa głównej bohaterki może być niezrozumiała dla współczesnego widza?

– Życie to jedno, a tęsknoty, marzenia i sny o miłości wielkiej to zupełnie coś innego. Tęskni się na ogół za tym, co nie znajduje się w naszym zasięgu. Jakbyśmy nie etykietowali naszych cynicznych czasów, nie jest to jednak epoka, która nas pozbawiła marzeń.

Rozmawiała: AGNIESZKA MALATYŃSKA-STANKIEWICZ

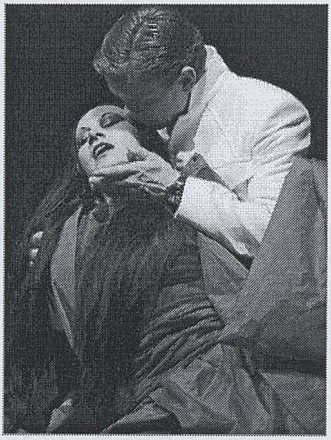
Udana premiera "Madame Butterfly" w Krakowie

GAZETA Krakowska **Magda Huzarska**

2009-09-28 10:35:10, aktualizacja: 2009-09-28 10:35:10

To miała być niewinna, miłosna igraszka porucznika marynarki Stanów Zjednoczonych Pinkertona. Chwilowe umilenie pobytu w Kraju Kwitnącej Wiśni. Cio-Cio-San miała być zaledwie kaprysem, przystankiem w drodze do "prawdziwej", amerykańskiej narzeczonej.

Oficer nazwał swą maskotkę Madama Butterfly (Pani Motyl), wykorzystał i, sam niczym motyl, odfrunął. Pozostawił rozkochaną w sobie Japonkę ipotomka, po którego, już z amerykańską żoną, powróci po trzech latach.



Choć widowisko wydaje się zbyt grzeczne, to warto spędzić w operze ponad 3 godziny (© Robert Szwedowski)

Od ponad wieku wszystkie sceny operowe świata chętnie sięgają po tę historię. Przepiękna muzyka Giacomo Pucciniego, niezwykle melodyjna, z dyskretną domieszką orientu i cytatów amerykańskich, naszpikowany emocjami dramat i japoński entourage, to niemal pewna gwarancja sukcesu. W Operze Krakowskiej z tym samograjem zmierzył się Waldemar Zawodziński, nie tylko reżyserując, ale także oprawiając całość scenograficznie.

Zmierzył się, acz odniosłam wrażenie, że nie próbował w żaden sposób z nim powalczyć, odczytać go na nowo. Może stwierdził, iż krakowscy melomani nie przełkną odważnej interpretacji. Dlatego też dostaliśmy przedstawienie momentami piękne, acz potwornie zachowawcze, które zrobi przede wszystkim wrażenie na tych, którzy nie śledzą nowinek na współczesnej scenie operowej.

Zawodziński - scenograf stworzył na scenie świat posklejany z rozmaitych klisz, spełniających przeciętne wyobrażenia o tym, jak wygląda Japonia. Choć jest to raczej rodzaj wariacji, są tu i elementy tradycyjnej architektury, jest monstrualna ikebana, imitująca ogród, są ściany z żaluzjami i papierowe lampiony. Wszystkie konstrukcje jeżdżą wszerz, do dołu i do góry, pokazując fantastyczne możliwości wyposażenia nowej Opery.

W tym natłoku mobilnych elementów, są też i takie, które służąc jedynie jako ilustracja, brudzą obraz. Jak chociażby gigantyczna kotwica, mało subtelnie symbolizująca przybycie statku do portu w Nagasaki. Gdyby nie owa kotwica na horyzoncie, finał drugiego aktu ze ślicznym, kołysankowym chórem rybaków, mógłby być jeszcze bardziej poetycki i czystszy.

W tę japońską symbolikę w przestrzeni, wpisują się kostiumy autorstwa Marii Balcerek, będące raz to wariacją na temat, a innym razem wiernym odzwierciedleniem oryginałów. Bo świat stworzony przez dwójkę scenografów nie ma ambicji wiernego kopiowania Japonii, ale jest rodzajem kreacji, z feerią barw i balansowaniem na granicy kiczu. Rozumiem ten zamysł, choć nie zawsze się z nim zgadzam. Ale największą siłą krakowskiej "Madamy Butterfly" są aktorzy - śpiewacy i sama muzyka.

Ewa Biegas w roli tytułowej po raz kolejny pokazała, że jest nie tylko znakomitą sopranistką, ale także dobrą aktorką. Artystka stworzyła portret kobiety, która na naszych oczach dojrzewa i przeżywa dramat odrzucenia. Zagląda w głąb duszy swojej bohaterki i wydobywa całe bogactwo emocji: od miłosnego zauroczenia, przez nadzieję, po rozpacz, popychającą ją do samobójstwa. Świetnie partneruje jej Agnieszka Cząstka w roli służącej Suzuki. Współodczuwa dramat swojej pani, tak jakby to był jej własny.

Słynny "duet kwiatowy" obydwu kobiet to jeden z piękniejszych momentów muzycznych tego spektaklu.
Konsul USA Sharpless Mariusza Godlewskiego to niemal wierny cytat z Konsula z "Pod wulkanem" Malcolma Lowry'ego. Wiecznie pijany, ocierający pot z czoła, widzi więcej i rozumie więcej niż Pinkerton. Pavlo Tolstoy w tej roli gra amerykańskiego mydłka, do którego dopiero nad zwłokami dawnej kochanki dotrze okrucieństwo zachcianki. Cyniczny stręczyciel Goro Pawła Wundera, to ktoś, z kim raczej nie chcielibyśmy się zaprzyjaźnić. W stworzeniu tych portretów pomaga aktorom orkiestra pod batutą Tomasza Tokarczyka, subtelnie wydobywająca liryzm i dramat nut Pucciniego.

Choć inscenizacja Waldemara Zawodzińskiego nie stanowi żadnego odkrycia interpretacyjnego w tej ponadstuletniej historii, choć chwilami wydaje się zbyt grzeczna i przesłodzona, to warto spędzić te ponad 3 godziny w Operze. Dla aktorów, muzyki i kilku obrazów, które mogą pozostać w pamięci.